

Nr 33 Warszawa, 15 sierpnia 1931r. 1.50gr.

BLUSZCZ



E.B.

Niezmiernie ważną jest sprawa

dobrego odżywiania latem

i umiejętnego ochładza-

nia się w czasie upałów.

BARDZO WYCZERPUJĄCE WSKAZÓWKI
I PRZEPISY ZAWIERAJĄ KSIĄŻKI WYD.
„ŻYCIE PRAKTYCZNE“

A MIANOWICIE:

ZIMNE NAPOJE

ZIMNE LEGUMINY

SALATY I SALATKI

POTRAWY Z JARZYN

SALATY — HODOWLA
I PRZYRZĄDZANIE

CO MOŻNA ZROBIĆ
Z OWOCÓW

Cena każdej książki 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Zamawiać i nabywać w Tow. Wyd. „Bluszcz“
Warszawa, Plac Zamkowy 9, oraz we wszyst-
kich księgarniach.

CHCESZ OTRZYMAĆ POSADĘ?
MUSISZ
UKOŃCZYĆ **KURSY FACHOWE**
KORESPONDENCYJNE im. SEKUŁOWICZA
Warszawa, Żórawia 42.
WYUCZAJĄ LISTOWNIE: buchalterji, rachunkowości, koresponden-
cji, stenografji, handlu, prawa, kaligrafji, języków obcych, daktylogra-
fji, pisowni, gramatyki polskiej, ekonomji.
ŻĄDAJCIE PROSPEKTÓW. 587

W okresie letnim należy
pomyśleć o wycieczkach.

Wypróbowane
wskazówki
zawiera książka

p. t.

SPACERY i WYCIECZKI

pouczająca, jak organizować kilkodnio-
we wycieczki w pełnym rynsztunku, lub
parogodzinne spacery.

Cena 1 zł. 50 gr. Z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ — Warszawa,
Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. 170.

Książka dr. Julji Świtalskiej

K O B I E T A N O W O C Z E S N A

poradnik dla młodych mężatek

w sposób rozumny i pełen doświad-
czenia życiowego ujmuje wszystkie
okresy życia kobiecego, od dzie-
ciństwa aż do starości. Książka ta,
ze względu na aktualność i nowo-
czesność myśli, jest jedyną w swoim
rodzaju i powinna się znaleźć w rę-
kach każdej mężatki.

Cena 6 zł.

Z poleconą przesyłką pocztową 7 zł.

Wysyła Tow. Wyd. „Bluszcz“ — Warszawa, Plac Zam-
kowy 9. Konto P.K.O. Nr. 13,555.

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 15 SIERPNI 1931 ROKU.

NR. 33.

TREŚĆ NUMERU: Nie słabość, ale siła — *M. Beniśławska*. Humor i obowiązek — *Natalja Jastrzębska*. Poezja: „Wiersz o Matce Boskiej Wniebowziętej” — *H. Januszewska*. Za białą ścianą (szkie powieściowy) — *Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska*. Zia Virginja — *Karolina Bielańska*. List z Helu — *Stefanja Heymanowa*. Polki na Tamizie — *W. Prażmowska*. Hitomi — *W. P. Z teatrów* — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Umiejętność używania telefonu — *Jadwiga Kiewnarska*. Sublokatorka — *Wanda Dobrzańska*. Co nam dał nasz ogródek — *Zofja Wróblewska*. Grzyby — *Zofja Skąpska*. Obiady dla pracującej inteligencji — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty”. Arkusz wzorów.

NIE SŁABOŚĆ, ALE SIŁA

Porównując czasy przedwojenne z obecnymi, musimy skonstatować, że nigdy przed wojną nie słyssało się tyle o przepracowaniu wogóle, a o przepracowaniu kobiety w szczególności.

Wyścig pracy — rozumiem; ciężkie warunki — i jak jeszcze! Ale skoro życie nie chce przystosować się do nas, my musimy przystosować się do życia takiego, jakim ono w dobie obecnej jest, bo to poprostu kwestja: być — albo nie być.

I przystosowujemy się: urlopy odpoczynkowe (jak często marnowane i wcale nie odpoczynkowe!), letniskowanie powszechne, sport, obozy letnie i t. p. — wszystko to w zasadzie dąży do skompensowania wysiłków, których żąda od nas wzmożone tętno pracy zarobkowej.

O mądrym odpoczywaniu, o przeciążeniu kobiet, obarczonych pracą w domu i poza domem, pracą, choćby zredukowaną znacznie, ale wciąż jeszcze niedostatecznie zorganizowaną i przystosowaną do nowych warunków — pisano nieraz w „Bluszczu” i jest to temat niewyczerpany, do którego wciąż musimy powracać.

W tej chwili chodzi mi o coś innego: o uświadomienie sobie bardzo jasno przez rzesze pracujących kobiet, że w obowiązujących dziś warunkach podjęcie się prowadzenia domu i pełnienia obowiązków macierzyńskich wymaga bardzo wysokiego cenzusu — poza wszystkim innym — fizycznej sprawności i siły.

Gdyby się słyssało tylko o przepracowaniu kobiety-matki, pracującej zarobkowo, możnaby sądzić, że rozwiązania kwestji przepracowania należy szukać wyłącznie na drodze: 1-o obowiązkowej pomocy spo-

lecznej dla matek; 2-o zorganizowania i ułatwienia pracy pań domu; 3-o wykształcenia fachowego kobiety w zakresie pracy dla domu i rodziny. Wszystkie te postulaty są bezwarunkowo słuszne i konieczne, ale nie wystarczające właśnie dlatego, że na przepracowanie uskarżają się bynajmniej nie wyłącznie mężatki i matki, pracujące zarobkowo i obciążone liczną rodziną, ale także kobiety, oddane wyłącznie domowi i mające jedno lub dwoje dzieci, a nawet takie, które przytem mają jedną lub dwie służące do pomocy.

Wiemy też wszyscy, że nie jest rzadkością skarga na przepracowanie nawet w ustach młodej kobiety niezamężnej, pracującej fachowo wśród życia pensjonatowego, i to już nasuwa poważne zastrzeżenia co do kwalifikacyj takiej osoby do obowiązków pani domu, żony i matki.

Kobieta słaba, niemogąca wogóle, bez zgubnych dla pracy i pracownika objawów wyczerpania, pełnić swojej fachowej pracy, nie ma prawa dobrać jeszcze innej, niezmiernie wyczerpującej i odpowiedzialnej misji. Nie ma tego prawa nawet w razie, gdyby ewentualnie porzucić mogła swą pracę zarobkową, wśród której sił jej brakło, i oddać się wyłącznie rodzinie, gdyż i tutaj napewno zabraknie jej tak samo sił zarówno fizycznych, jak moralnych, żeby mogła wydać na świat zdrowe i życiowo dzielne potomstwo, a zwłaszcza wychować je na pełnowartościowych ludzi, gdyż praca wychowawcza ma to do siebie, że więcej, niż jaka bądź inna wymaga jednolitej ciągłości.

W życiu widzimy to raz po raz: matka, mająca doskonale zasady pedagogiczne, gorąco do dzieci przywiązana i poważnie zajęta ich wychowaniem, osiąga



G2.434/14.1931

jednak najfatalniejsze rezultaty. Często nie zdaje sobie sprawy — dlaczego? Radzi się ludzi kompetentnych, którzy ją zapewniają, że teoretycznie jest na dobrej drodze. Cóż z tego, skoro raz na tydzień (na miesiąc) zdarza się, że, czując się szalenie wyczerpana, „dla świętego spokoju“ ten jeden, jedyny raz... postępuje wbrew tym swoim doskonale obmyślonym zasadom. Wystarczy, żeby przekreślić w tej właśnie chwili cały dorobek zbożnej pracy.

Trzeba więc sobie stanowczo i odważnie powiedzieć: ojcostwo nawet — a cóż dopiero macierzyństwo! — wymaga fizycznej i psychicznej dzielności, trzeba zatem tę dzielność mieć z przyrodzenia, albo ją zdobyć i to przed rozpoczęciem życia rodzinnego.

Ten srogi postulat moralny będzie tragedją dla wielu kobiet, pragnących w życiu swoim, jak szczęścia, macierzyństwa właśnie; ale trudno! — przeżywanie takich tragedji przez jednostki jest nie do usunięcia; jest to jednak zło mniejsze, niż rozpacz, jaką byłoby dla takiej właśnie urodzonej matki poczucie, że przez swoją słabość i egoizm zniszczyła szczęście własnych dzieci i przyczyniła się do tego, że życie ich stało się dozgonną udręką dla nich i dla otoczenia.

Życie stawia nam przed oczy jaskrawe przykłady — i, niestety, nierzadkie — gehenny kobiety słabej, która przez lekkomyślność, czy poprostu egoizm wprzęgła się w obowiązki za ciężkie na jej nikle siły. Taka kobieta już przy pierwszym dziecku zaczyna szukać dróg nie spełnienia, tylko obejścia swych obowiązków wobec tego dziecka, tak namiętnie upragnionego, umiłowanego tak gorąco jeszcze przed urodzeniem.

Zacznie się od: „ja nie mogę znieść krzyku dziecka!“ — Tak, ona nie może. Cięża ją wyczerpała, poród dobił, karmienie wydaje się już nadludzkim wysiłkiem. A jednak dziecko musi krzyżeć i powinno ssać macierzyńską pierś. Dla uspokojenia nieznośnego krzyku zaczyna się huśtanie, zjawia się pusty smoczek — środki, sprowadzające chwilową ciszę, ale zapewniające niezawodnie bezsenne noce przy wciąż tylko drzemiącym dziecku, a sztuczne karmienie, gdy się niem musi zająć sama matka, okazuje się jeszcze uciążliwszym, nie mówiąc już o tem, że dziecko przypłaca je o ile nie życiem (procent śmiertelności o wiele wyższy!), to zdrowiem, co również skrupi się na tejże matce.

A cóż dopiero, gdy obok fizycznych potrzeb dziecka — których zaspokajanie już wyczerpało matkę, czyniąc z niej istotę zdenerwowaną i prawie chorą — wystąpią potrzeby psychiczne, zacznie się troska o wychowanie! Tu najkonieczniejszym warunkiem powodzenia będzie właśnie opanowanie się i spokój, a jakim cudem zdobędzie się na to osoba bezwolna, goniąca resztką sił?!

Taka matka albo szarpie się sama i dręczy biedne dziecko, coraz trudniejsze do kierowania, wikłając się w istotnie już nieprzewyciężone trudności, albo

rezygnuje ze swych macierzyńskich obowiązków i praw, a dziecko, rosnące „na dziko“, niebawem stanie się mściwym tyranem. W każdym razie i sobie i dziecku zapewnia przyszłość bardzo niewesołą.

A przecież życie rodzinne — to nie wyłącznie praca macierzyńska: jest jeszcze mąż i dom. Wiadomo, że gdzie cienko, tam się rwie. Gdy pani domu, żonie i matce, sił nie starczy, musi ona przynajmniej jedną z funkcji swoich spełniać źle. Wystarczy to, niestety, do osiągnięcia pełnego niepowodzenia nie tylko na upośledzonym odcinku pracy, ale na jej całości.

Kobieta oddaje się dzieciom, ale zaniedbuje męża; zaharowana i narzekająca, przestaje być jego przyjacielem i miłym towarzyszem; wciska się rozdźwięk, luźnieją więzy i pomiędzy małżonkami i pomiędzy dziećmi a ojcem, bardzo często urywają się nawet, rujnując ognisko domowe.

Gdy dom będzie zaniedbany, zmniejszy się przede wszystkim dobrobyt materialny rodziny, a w dodatku dom taki stanie się niemiłym miejscem pobytu dla wszystkich domowników, skąd już — jako konsekwencja — wynikną coraz częstsze emigracje męża, a niebawem i podrastających dzieci — nierzadko w kierunkach jaknajmniej pożądanym.

I tak, pomimo walki, pomimo ofiar ciężkich bardzo fizycznie i moralnie — kobieta słaba staje się kobietą nieszczęśliwą. A czy poczucie, że za swe niepowodzenie jest ona moralnie odpowiedzialna, że sprowadziła oto niedolę na przenajdroższe głowy, nie będzie dla takiej matki stokroć cięższą tragedją, niż byłoby przed laty bohaterkie skazanie siebie na bezdzietność? Tu poprzez całą gorycz wyrzeczenia się osobistego szczęścia zdobyłoby się olbrzymie walory moralne, jakie daje ofiara, zaparcie się egoistycznych popędów.

Twierdzenie, że gdy się już będzie miało to upragnione dziecko, znajdą się cudem siły, których dotąd wciąż brakło przy pełnieniu wszelkiej innej pracy — jest samookłamywaniem, albo fatalnym błędem: moc zarówno fizyczna, jak moralna — zwłaszcza, gdy chodzi nie o jednorazowy wysiłek, tylko o równomierną, spokojną pracę — nie zjawia się nagle, nawet pod wpływem najsilniejszych wstrząsów moralnych. Natomiast — i to niech będzie dzisiaj pociechą słabych — *daje się zdobyć* mozolną i wytrwałą pracą nad sobą, którą jednak trzeba zacząć zawczasu.

Wiemy przecież, do jakich zadziwiających rezultatów doprowadza umiejętne ćwiczenie sił fizycznych, przy dobrze zastosowanej higjienie podwajając je, a nawet mnożąc wielokrotnie. To powinno być pierwszą troską kobiety, upatrującej swe szczęście w życiu rodzinnym.

Pierwszą, lecz nie ostatnią. Nawet znaczny zasób sił fizycznych zmarnuje się i zawiedzie bez harmonijnego rozwoju tężyzny moralnej, szarpiąc się i wyczerpując w małostkowych ujemnej natury afek-

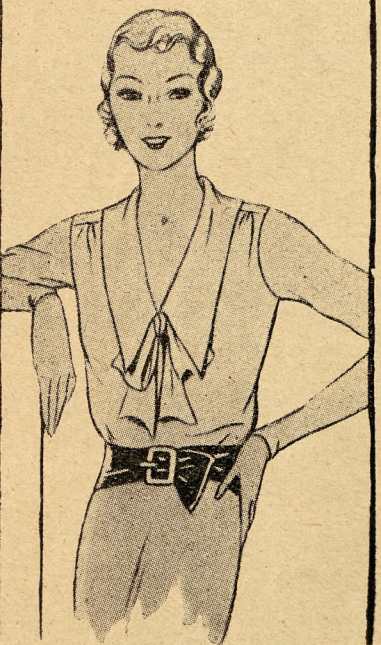
MODY I ROBOTY



535

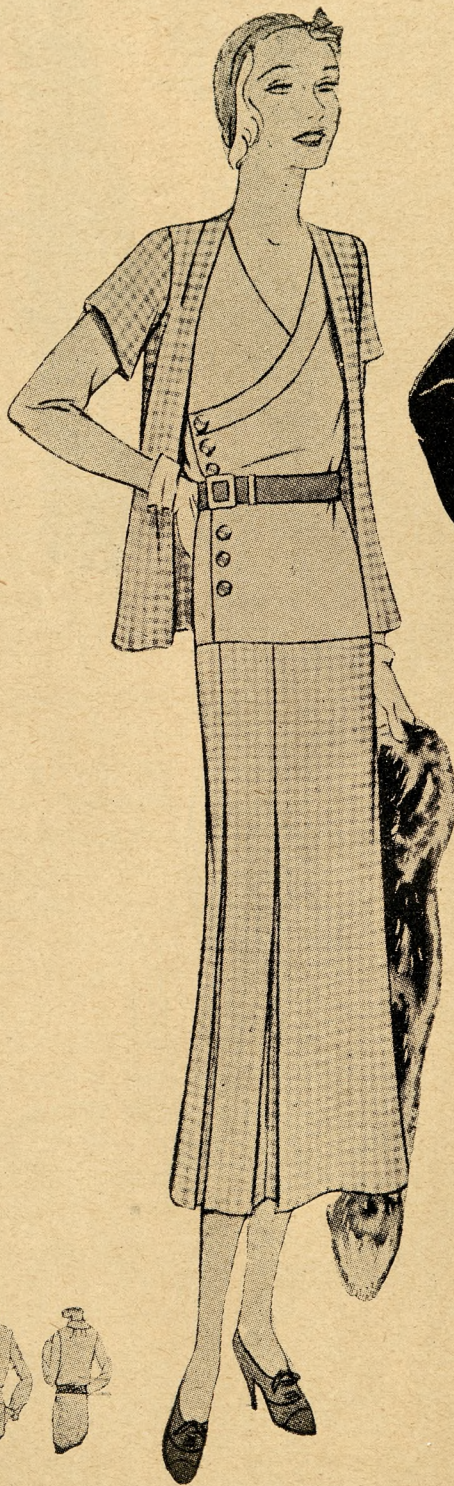
536

535. Suknia z szaroniebieskiego jedwabiu gładkiego, przybrana jedwabiem w grochy.
536. Jasno-piaskowa suknia z lekkiej wlny — żakiet brązowy trykotowy.



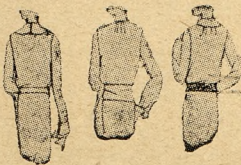
537 538 539

537. Bluzka z różowego crêpe de chine'u.
538. Biała bluzka z surowego jedwabiu.
539. Bluzka kolorowa z lekkiego jedwabiu do prania.
540. Suknia z żakiecikiem z wełny gładkiej i de-
seniomej.
541. Okrycie z czarnego jedwabiu, przybrane
letniem futrem.



540

541

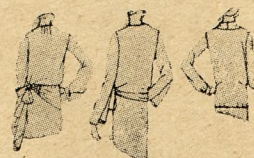


542. Suknia z bolerkiem z lekkiej wełny.
 543. Kostjum podróźny z wełny w kratkę.
 544. Bluzka z kolorowego fularu.
 545. Bluzka z płótna jedwabnego.
 546. Strojna bluzka z crêpe de chine'u.



542

543



544 545 546



547

548

549

547. Pyjama z gładkiego meteoru.

548. Pyjama z płócienna w kratkę.

549. Skromna pyjama z zefiru w pastelowych tonach. Model dla młodej pani.

550. Pyjama z płótna je-

dwabnego — spodnie kolorowe — bluzka biała.
551. Pyjama z jedwabnego trykotu.

552. Strojna pyjama: spodnie z czarnego crêpe-satin — bluzka z białego meteoru, przybrana czarnym ręcznym haftem i czarną aksamitką.

550

551

552

W P O D R Ó Ż Y

Nie wiem, dokąd Pani pojedzie: na Wystawę Kolonjalną, czy do Świdra, czy też na zwykły warszawski week end, kolejką do Konstancina? Czasy są tak ciężkie, że nawet płóche pióro modnej referentki zamiast tanecznym rytmem muskać papier, staje się naraz cięższe, o dziwo! — poważnieje. Nie ma sumienia (pióro ma sumienie?!) pisać o nowościach uroczych i zbyt kownych. Robi kleks i staje. Wreszcie zbacza ku tematom mniej śliskim, napisze więc o tem, jak zużytkować to, co się ma, w sposób właściwy. Tym razem w podróży. Zgoda?

Jazdy na week-end do Konstancina, czy innej podmiejskiej okolicy nie podobna nazwać podróżą, ale przecie ubrać się należy po podróżnemu, przynajmniej z wierzchu, ze względu na złośliwy kurz wagonowy. Poczciwy, wysłużony trench-coat, tylokrotnie prany, przyda się i tym razem. Beret baskijski ślicznie zaprasuje karby świeżo przed wyjazdem ułożonej ondulacji. Gdyby było w nim za gorąco, można go z powodzeniem zastąpić czapeczką, zrobioną z jedwabnej peli szydełkiem. Pod spód byle jumperek bez rękawów i jakaś tam spódniczyna. W wagonie i tak się pogniecicie. Żeby na letnisku wyglądać świeżo i kusząco, markizetową sukienkę zabierzemy w podręcznym neseserku. Wymaga tak mało miejsca!

Jeżeli jednak odbywamy podróż dalszą, broń Boże! zagraniczną, musimy zaopatrzyć się starannie, aby nie dawać cudzoziemcom zbyt niepoehlebnego wyobrażenia o naszym kraju. Trench-coat przyda się w każdym razie — to mundur międzynarodowy, ale pod nim należy mieć kostjum tailleur. Może być z ubiegłego, nawet z zaprzeszłego sezonu. Jeżeli pochodzi od dobrego krawca i jest uszyty z solidnego materiału, powinien prezentować się zupełnie przyzwoicie. Spódniczka została podłużona zapomocą dodanego karczka, plamy wyczyszczone, niepożądane wyświecenia łokci usunięte drogą kunsztownego prasowania. Marynarka z przed trzech sezonów zupełnie nie wyszła z mody. Bluzka na drogę nie zbyt jasna. Najstosowniejszy będzie krój koszulkowy i materiał w pasy ciemne i jasne. Jedwab do prania. Jeżeli w drodze wypadnie się zatrzymać w jakimś mieście od pociągu do pociągu, można bezpretensjonalną pasiastą bluzeczkę zastąpić strojnniejszą i bardziej wypracowaną, wykonaną z jasnej żorżety czy meteoru. Lub też modną kamizelką.

Podróżny beret można też zastąpić kapeluszem o pikowanym rondzie, wykonanym z jedwabiu w szkocką kratę. Na szyję może być wąski szalik z tego samego jedwabiu, zaoszczędzonego przy robocie kapelusza. Ciemne rękawiczki podróżne zmienimy na jasne. Cały ten rynsztunek da się bez trudu zmieścić w niewielkiej walizce podróżnej i na dobrą sprawę mógłby starczyć nawet na cały czas dwutygodniowej wycieczki do Paryża. Dodałoby się ze dwa zapasowe combinaison'y i parę par pończoszek. Wszystkie hotele w Paryżu zaopatrzone są w wodę bieżącą i zwyczaj przepierania drobiazgów we własnym numerze nie dziwi nikogo. Kto chce, może jeszcze zabrać suknię z ciemnej żorżety, zaopatrzoną w zakieciak z rękawami. To już będzie na wszelkie ewentualności. *Well.*

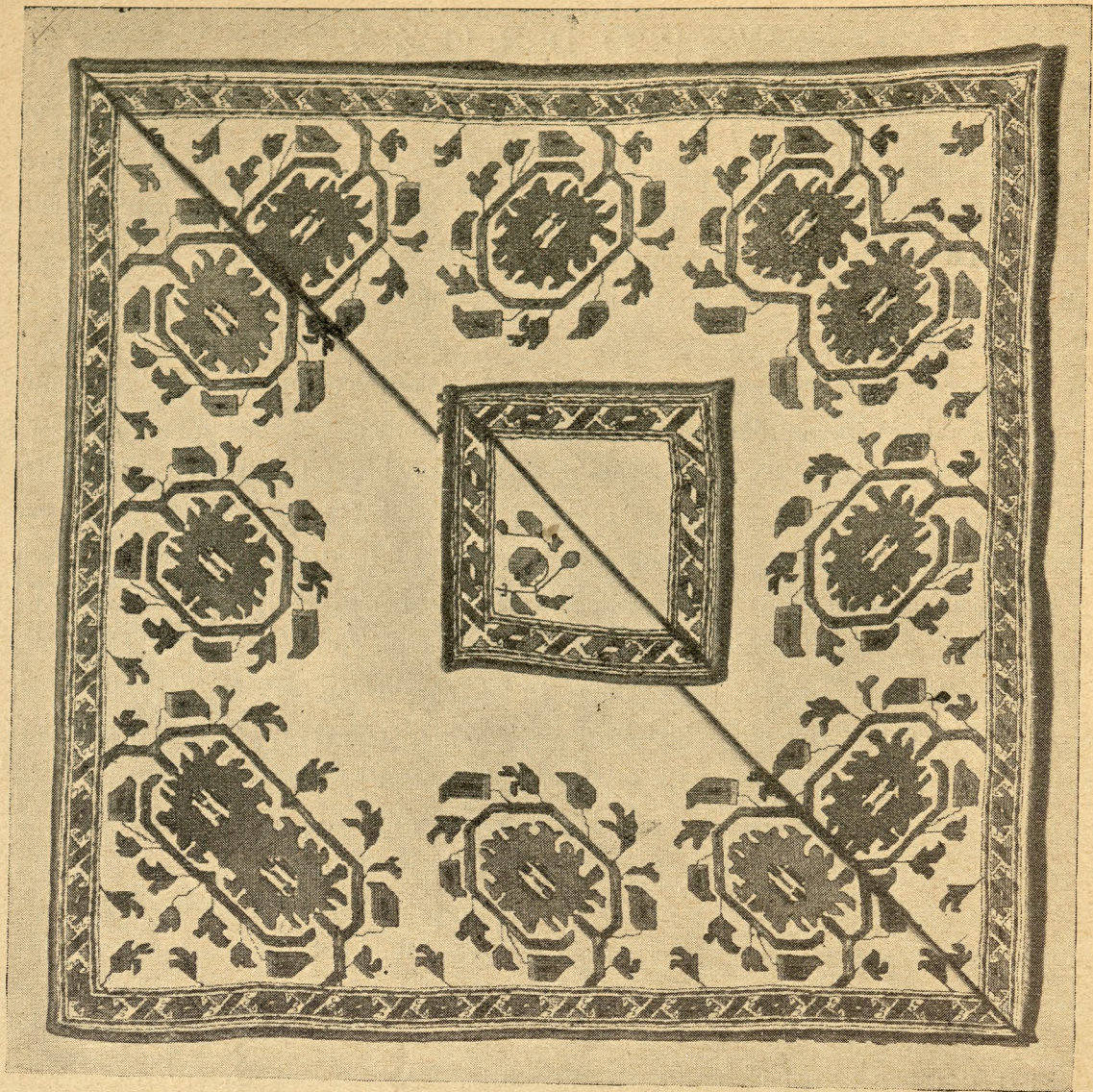
SERWETKA BUŁGARSKA

Dzięki uprzejmości p. ministrowej Robeff, żony posła bułgarskiego w Warszawie, możemy podać naszym Czytelnikom piękny wzór serwetki, ozdobionej oryginalnym haftem bułgarskim.

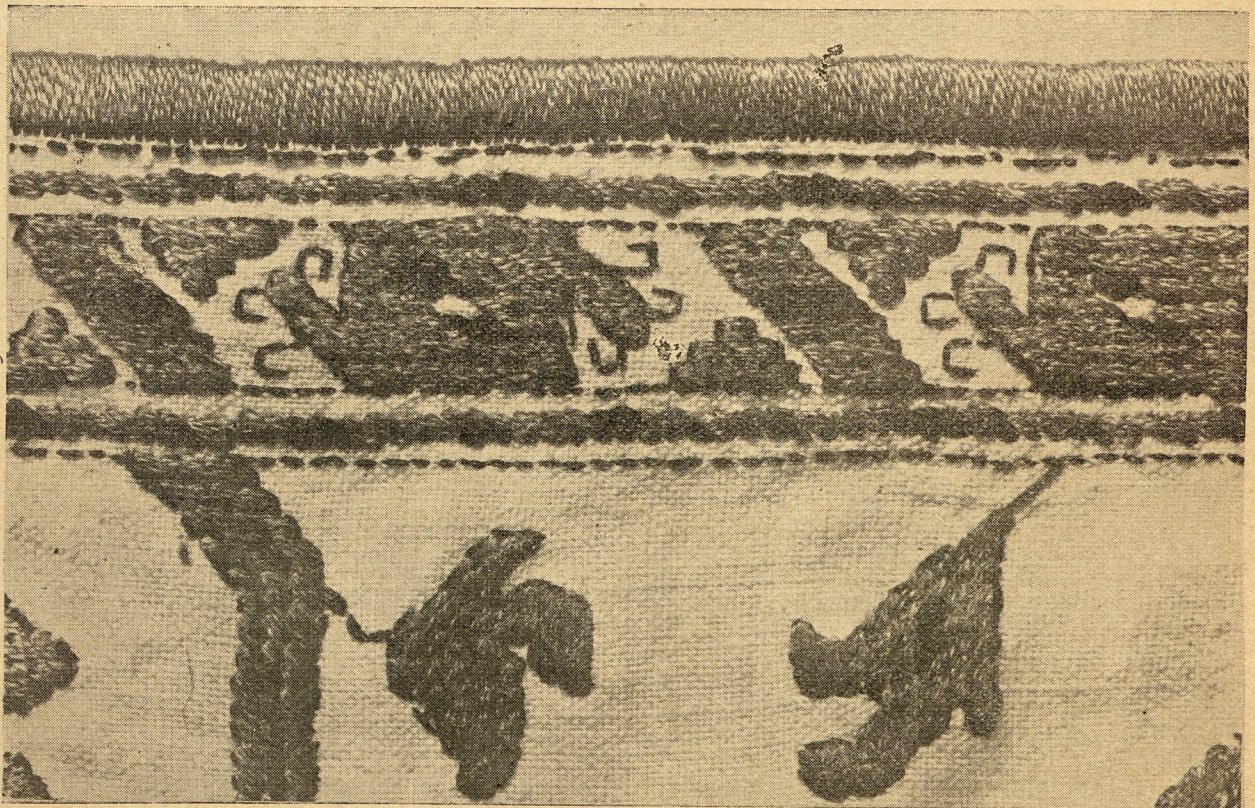
Fotografję tej serwetki podajemy na str. 6-ej.

Serwetka zrobiona jest z płótna-samodziału o równych nitkach i ozdobiona haftem, wykonanym półkrzyżykami i ścięciem cerowanym wprost na płótnie. Sposób wykonania podaje rys. 2.

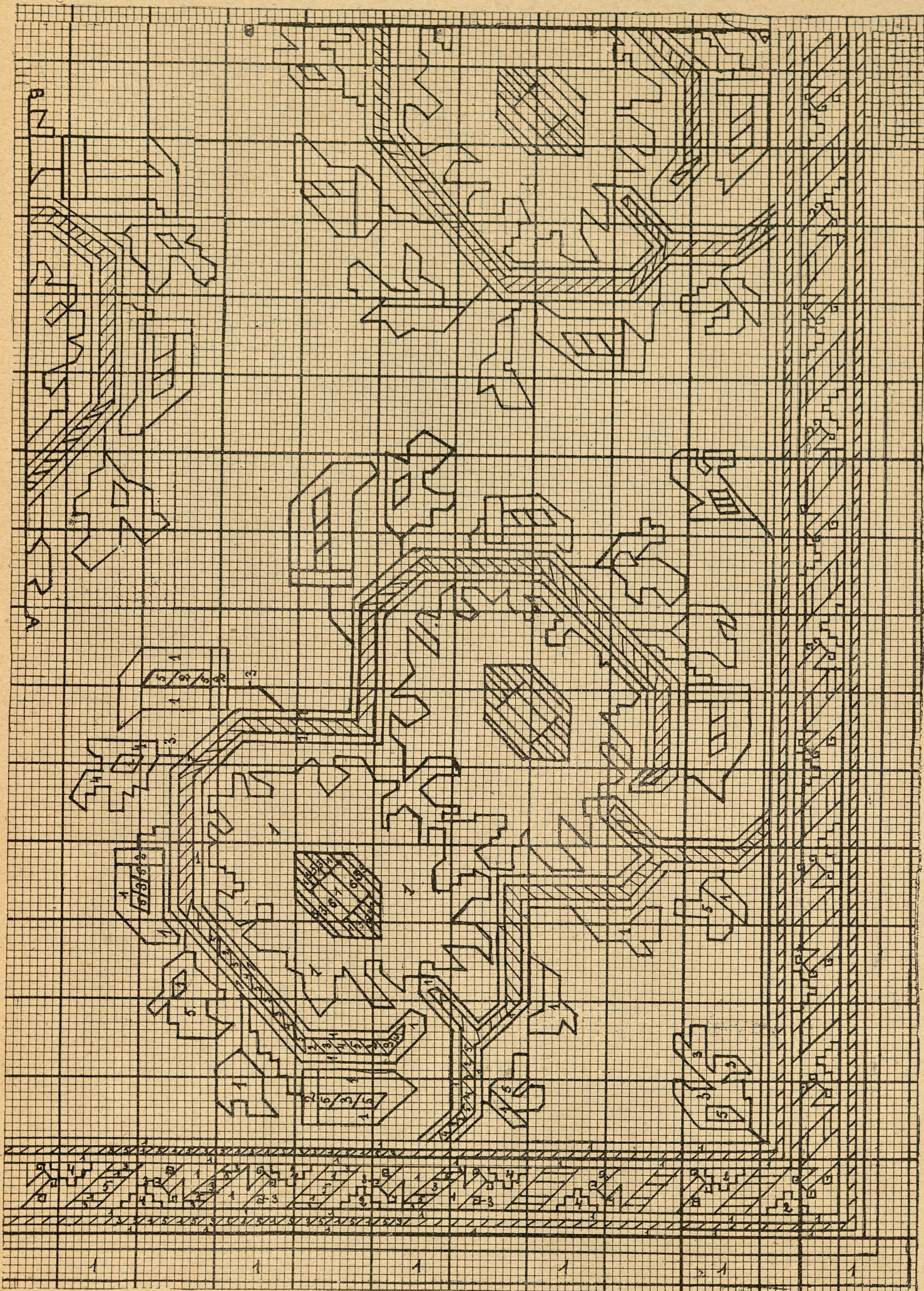
Na str. 7-ej widzimy wzór narożnika, a na str. 8-ej drugi narożnik i małą serweteczkę. Kolory są oznaczone numerkami, pozatem każda większa płaszczyzna kolorowa jest obwiedziona czarnym.

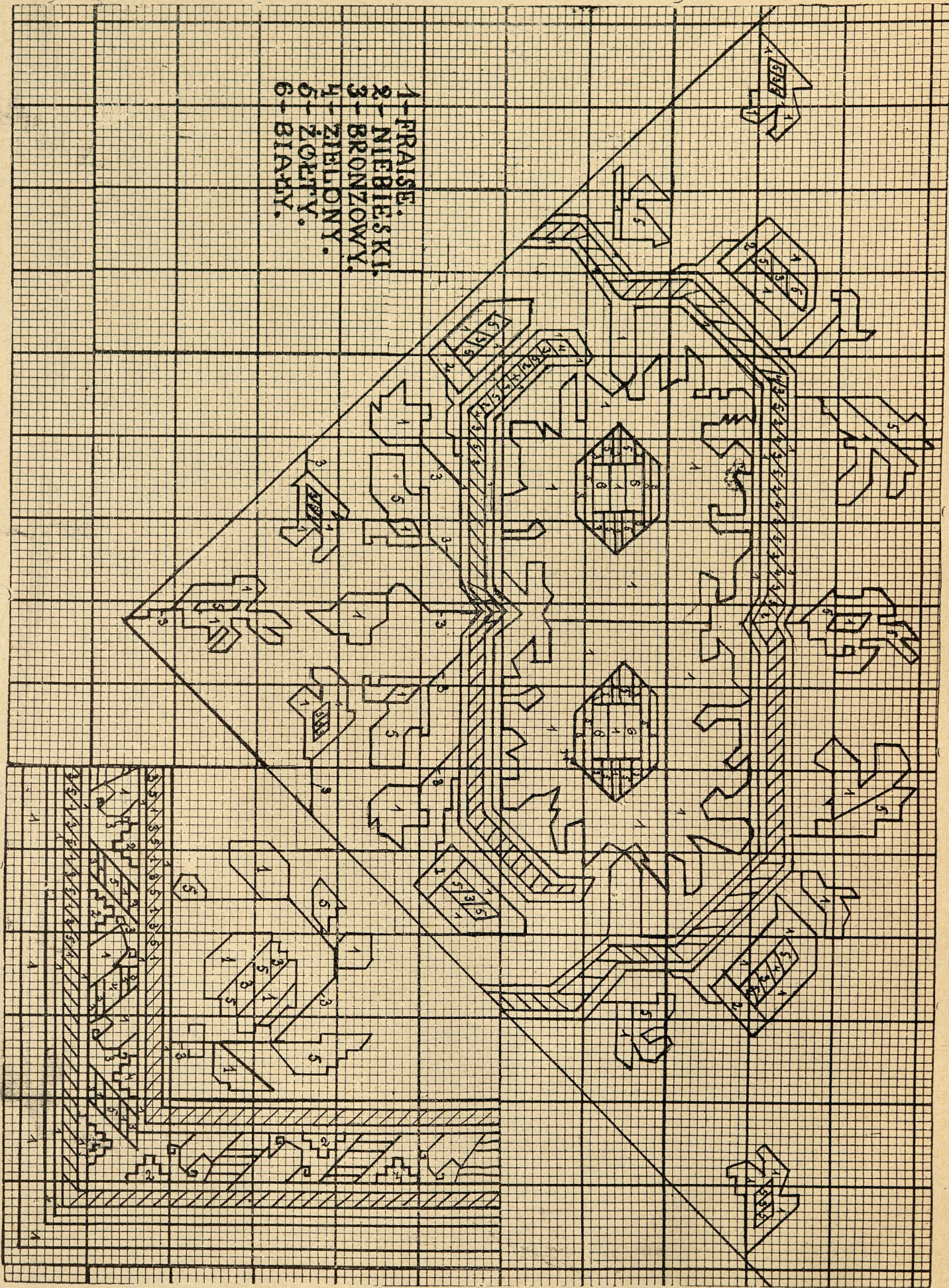


Rys. 1. Serwetka na stolik i mała serweteczka.



Rys. 2. Sposób wykonania haftu.





tach, które dałoby się, przy umiejętnej pracy nad sobą poprostu wyrzucić za nawias, odmienić czy zastąpić czemś dodatniem i celowem. Czyż nie znamy setek kobiet, „zadreczających się“, „zagryzających“, zmarnowanych nie przez tragizm życiowych warunków, tylko przez własne usposobienie?

I jeszcze: siły, będące do dyspozycji, trzeba umieć spożytkować celowo, inaczej nawet znaczny ich zasób zmarnuje się na szukanie już znalezionych, a nam tylko nieznanymi dróg, na wylamywanie drzwi, do których klucza nie umiemy odnaleźć. Tu zbawi nas nawyk do umiejętnego organizowania swej pracy i solidne teoretyczne do niej przygotowanie.

Tak więc słabe siły dają się wzmocnić; niezbyt duże — spożytkować ekonomicznie tak, aby wystarczyły; potrzeba tu tylko, jak wszędzie zresztą, zrozumienia, dobrej woli i pracy nad sobą.

Bywa także, że kobieta, zdająca sobie sprawę z własnej niemocy, ale polegająca na znacznych swych zasobach materialnych, ludzi się nadzieją, że znajdą się środki na zapewnienie dziecku wszystkiego, pomimo nieudolności matki, na drodze hojnie opłaconej

opieki ludzi obcych. I ta nadzieja zawiedzie również. Taka matka kupi dziecku swojemu zwykle wątpliwej wartości surogaty macierzyńskiej opieki, ale sprzeda swe własne macierzyństwo, stając się sama własnemu dziecku obcą.

Dziś spotykamy dość często jeszcze inny typ kobiety słabej: rzeka się ona chętnie macierzyństwa, wychodzi tylko zamaż. Takie kobiety w teorii nie skazują potomstwa swego na fizyczne, czy moralne charłactwo; jednak życiowa obserwacja poucza, że nader często dzieci „nieproszone i niedziękowane“ zjawiają się na świat w małżeństwach, które się ich początkowo wyrzekały. Te dzieci marnują się tem pewniej, że ich rodzicielki pozbawione są tej, choć zawodnej, ale bądź co bądź niezaprzeczalnej siły, jaką daje niekiedy wielka miłość kobiety o temperamencie wybitnie macierzyńskim.

Podsumowując rozważania powyższe, wypadnie nam je ująć w zasadniczy aksjomat: nikt i nic nie ma mocy *zapewnienia* człowiekowi szczęścia — ani miłość, ani mąż, ani dziecko. *Szczęście trzeba samemu sobie wziąć mocarną ręką.*

M. Benisławska.

HUMOR I OBOWIĄZEK

— Czy kobiety lubią pracować?

— Bezwzględnie, tak. Leniuchów jest wśród nich napewno o połowę mniej, niż w rodzie męskim.

— Czy kobiety pracują pogodnie, w dobrym, lub choćby jednostajnie spokojnym, opanowanym humorze?

— O, to, to inna sprawa, zupełnie inna.

W czasach, kiedy tak dużo myślimy o wydajności i organizacji pracy, więcej: w czasie, kiedy wskutek trudności kryzysowych tak niezmiernie wiele wszelkich zalet posiadać musi, do utrzymania się na swem stanowisku, pracownik wogóle, a pracowniczka w szczególności, nie od rzeczy będzie zastanowić się nad tem oświeceniem stosunku do pracy.

Otóż w tym stosunku mają kobiety bardzo wiele zalet: są pilne, sumienne, uczciwe, wszystko to przyznać im należy, tylko, niestety, nie wszystkie umieją zachować ten „fason“ dobrego humoru.

Ale, czyżby mężczyźni napewno już tak wszyscy to potrafili?

Nikt tego nie twierdzi, są oni bardzo rozmaici, ale jest jedna zasadnicza różnica: mężczyzna, który, jako urzędnik, mający do czynienia z publicznością np., będzie nieuprzejmy, oburkliwy, daje błędne informacje, lub w samem odnoszeniu się do pracy, czy kolegów jest wiecznie w złym humorze, to, z bardzo małymi wyjątkami, pracownik *kiepski*; kobieta, nie.

Aż dziwne, ale tak jest; możemy nieraz obserwować, jakby w prostym stosunku właśnie do gorli-

wości, do doskonałości w pracy wzrastał u kobiet zły humor.

Pamiętam jeszcze przed wojną takie typy: sumienność przerosła aż w pedanterję; energia i inicjatywa, połączone z wieczną oburkliwością i patrzeniem na innych z milczącym epitetem: idjota! Kolosalny nieraz rozmiar pracy, dokonywanej jednak w takim humorze, że można było z obawą zapytać: kiedy ta osoba się powiesi?

Ludzie wprost bali się nieraz załatwiać jakąś sprawę z daną urzędniczką. Przykładem takiej obawy było, bardzo niestety trywjalne, ale z *pod serca* wyrwane ostrzeżenie, które grasowało w jednej z instytucyj byłego Komitetu Obywatelskiego, w czasie wojny, gdy któryś z kolegów (ew. koleżanek) musiał zwrócić się do jednej z kierowniczek wydziału: „tylko uważaj, aby cię w piętę przez but nie ugryzła!“. A pracownica była wybitna.

Ale to dawne czasy; wówczas mówiło się, że to nieprzyzwyczajenie kobiet do pracy; wówczas nierzadko wybierała kobieta drogę fachową dla tych samych przyczyn, dla których jeszcze dawniej wybierała klasztor, a rozczarowania życiowe nie wprawiają w dobry humor.

Dziś jednak jest już zupełnie inaczej, dziś przed kobietami otwarty jest wybór zawodu i prawie powszechne już nastawienie ogólne, że praca jest nieodłącznym składnikiem życia, rzeczą zwykłą i codzienną.

A mimo tego zły humor pozostał. I co właśnie najdziwniejsze, pozostał w przeważnej liczbie u tych, które pracę swą wykonują doskonale, z pełnym zamiłowaniem. Bo, zanikające już zresztą, „aniołki biurowe“ są zawsze w dobrym humorze.

Te „inne“ właśnie przeciwnie.

— Dlaczego wszystko się zawsze o mnie obija? A cóż ja mogę na to poradzić? Wszyscy mi wprowadzają zamęt w robocie! To wcale nie moja sprawa! Poprostu warjacji można dostać! Nie sposób pracować w takiej atmosferze!

To kilka, na chybił trafił wybranych, powiedzonek, którymi „osładza się“ sobie i innym pracę i koleżeńskie współzycie.

A w dodatku tyrady takie zwykle mijają się z istotnym stanem rzeczy. Osoba, skarżąca się, że wszystko o nią się „obija“, byłaby w znacznie gorszym jeszcze (o ile to możliwe) humorze, gdyby pewnego dnia okazało się, że coś bez niej załatwiono; poradzić może zwykle właśnie tylko ona i ostatecznie poradzi, naurągawszy poprzednio i napsuwszy sobie i innym krwi, niewiadomo dlaczego, a „atmosferę“ wprowadza sama właśnie swoim zachowaniem się.

Trudności, lub zwykle tylko komplikacje, nieuniknione w każdym interesie, w każdej pracy, w stosunkach wewnętrznych lub zewnętrznych, stają się katastrofami, sprawy zawodowe urastają do rozmiaru nieszczęść osobistych.

Ależ dlaczego tak się dzieje?

Przyczyny tego leżą, zdaje mi się, w pewnym nastawieniu psychiki kobiecej.

Jak już wyżej powiedziano, mężczyzna albo spełnia swe obowiązki źle, bo jest leniwy i nieodpowiedzialny, albo spełnia je dobrze, ale wtedy właśnie panuje nad nimi.

Kobieta zaś często *identyfikuje siebie ze swoją pracą*, nie potrafi nad nią zapanować i to tem więcej, im gorliwiej pojmuje obowiązek.

U mężczyzn przyczyną złego humoru w pracy bywa przeważnie lenistwo, u kobiet, przeciwnie: zbyt ni zapał. Bardzo też często kobiety za mało zdają sobie sprawy z zakresu, z granic podjętego obowiązku i z ważności poszczególnych jego działów. Znałam np. w pewnej instytucji, sekretarkę osobistą szefa; do obowiązków jej należało, obok korespondencji, załatwienie interesantów, zgłaszających się do dyrektora. Na tych zależało tak samo, jak na korespondencji; cóż, kiedy sekretarka uwzięła się uważać ich za obywateli drugiej klasy! Dla niej ważne były jedynie listy, i wpadała w najgorszy humor, gdy nudzono ją telefonem, lub zgłoszeniem osobistym!

Często też wykazują takie właśnie, bardzo gorliwe pracownice, rozpaczliwe przecenianie drobniaków, a że praca, jak i życie samo, składa się z drobniaków, nierzadko i z drobnych szpileczek, bardziej, niż z rzeczy doniosłych, brak odporności w stosunku do takich objawów zatruwa dosłownie cały humor.

Ale gorsze jeszcze od przejmowania się drobiazgami jest zbyt przejmowanie się cudzemi sprawami.

Jakto? Moja praca, mój zawód, to *cudza* sprawa?

Poniekąd, tak. Granica jest subtelna, ale z tej właśnie granicy trzeba zdać sobie sprawę.

Obowiązek swój pracowniczy należy wypełniać jaknajgorliwiej, ale trzeba umieć odłączyć siebie od swego obowiązku. To właśnie mężczyźni potrafią lepiej. Może dlatego, że mają silniejsze nerwy; może dlatego, że są większymi egoistami.

Kobiety ze swoją wrażliwością i uczuciowością często zaczynają traktować cudze sprawy, cudze interesy zanadto już, jak swoje własne, z odcieniem macierzyńskiego przywiązania, stosując do nich wszystkie jego właściwości: chęć bezapelacyjnego kierowania, troski i niepokoje.

Osoby takie potrafiły (przy najlepszej konjunkturze) denerwować się: firma za dużo ma weksli, czy będzie mogła zapłacić? Biedzić się nad każdym posunięciem szefa (nie wyłączając ministrów!): czy to będzie korzystne? I wpadać w najczarniejszy humor, gdy coś idzie nie po ich myśli.

Nad tem wszystkim trzeba zapanować.

Pierwszym warunkiem dobrego humoru w wypełnianiu swego obowiązku jest, naturalnie, właściwy wybór pracy, ale o tem wspominam tylko ubocznie, gdyż chodzi mi w tej chwili nie o pracownice złe, zrażone do swego zawodu, ale właśnie o dobre, które, pomimo zamiłowania, nie umieją wnieść pogody do swej pracy.

Poza tem, naturalnie ważne jest zdrowie, ale, jak z jednej strony usterki w niem wpływają ujemnie na humor i pogodę ducha, tak z drugiej nie można poprostu wyobrazić sobie, aby zgryźliwość w pracy mogła nie wpływać fatalnie na stan zdrowia. Osoby, wytwarzające sobie kwaśną atmosferę w pracy, zawsze się nią przemęczają i rozchorują, gdy przeciwnie, w dobrym humorze przetrwać można nieraz nawet trudne warunki.

A najważniejsze, to właśnie wyrobienie w sobie spokoju, umiejętność odgraniczenia rzeczy ważnych od drobniaków i pozbycie się egocentrycznego punktu widzenia: *ja*, to praca, *ja*, to obowiązek, *ja*, to firma. Nie, wcale! Praca, obowiązek, firma, mój do nich stosunek. Powinien być jaknajgorliwszy, ale każde na właściwym miejscu. Bez pedanterji, zgryźliwości, bez apodyktycznych zachcianek wszystkowiedzenia i wszystkim kierowania, bez megalomanji: *ja* wiem najlepiej i *na mnie* wszystko polega; bez samoudręczenia: jestem przepracowaną ofiarą, lecz z poczuciem: robię, jak mogę najlepiej, uśmiechając się do swej pracy. Kocham ją, lecz umiem odłączyć od niej siebie i swe sprawy prywatne, umiem panować i nad pracą i *nad sobą*.

Wtedy będziemy mieć *w pracy pogodę*.

Natalja Jastrzębska.

H. JANUSZEWSKA

WIERSZ O MATCE BOSKIEJ WNIĘBOWZIĘTEJ

— Kędy wieżecie mnie w triumfie archanielskich surm?
 Kędyż zbawienie moje ciche — niebo ukojne —
 orły, orły niebieskie — archanioły —
 rycerze zbrojne?

Ciszą wypełniła się tajemnica moja —
 jam świętością nalane naczynie — gwiazda zaranna —
 idę — wpatrzona w srebrzystość, w złotość na boskich pokojach —
 Hosanna — — —

Nie ślepcie mnie, zastępy niebieskie, deszczem słońc — wszech sfer kręgiem —
 Jak grot, splendor wzrok mi razi — błędę wśród Cherubinów —
 Gdzież jest — Jezu najmiłszy — Dzieciatko z Nazareth —
 Synu?...

ZA BIAŁĄ ŚCIANĄ

(szkie powieściowy)

Wreszcie po długich, rozklekotanych rozmowach chwilach spadły z policzków gorące plamy i stała się nową troską: czy suknia dość świeża, czy włosy dość uładzone, czy dłonie nie zbyt opalone. I ni stąd ni zowąd przyplątała się złość: tak głośno kaszle rządcą, taki czerstwy chleb! Hela śmieje się niemądrze, muchy nie dają spokoju.

Tymczasem oczy, wyzbyte nieśmiałości, mogą studjować zaciekle:

Bardzo blisko, tuż za białą plamą obrusa kołyszą się spokojnym, szerokim gestem duże dłonie; mocne zęby raz po raz wpijają się z uśmiechem w miąższ chleba i mięsa. Z rozrośniętych junacko barów wyrasta mała głowa na mocnej szyi. Czoło, sklezione bohatercko, przechodzi nagle w czarną falę włosów. Pod ruchliwymi nozdrzami kształtnego nosa — usta bezwzględne, rubinowe, rozdarte w uśmiechach.

— O, gdybym wiedziała, że pan Lacki dziś przyjedzie, nie poszłabym na plebanję! — ssie ciągutkę własnego zachwyty panna Felicja.

I znowu Hela śmieje się zbyt głośno.

Rena traci apetyt. Jedzenie nie idzie w usta. Wargi zapragnęły nagle pomarańczowego soku, roztopionego śniegu. Wiele smug gorzkich i wonnych oplotło się wkoło stołu. Cichy, samotny ogród wydaje się być bardzo daleki i pewnie zasypia...

Na krótko przed dziewiątą wszedł do jadalni dziadziec.

Twarze obecnych, biorące dotąd żywy udział w młodzieńczych opowiadaniach Lackiego, zmięły się

jakby jednocześnie. Przywitanie gościa było epizodem, wyjętym z komedji, źle zagranej. Humor, rozdmuchiwany jeszcze miechami wspólnych wysiłków, zagaśił już prędko.

Na werandę wyniesiono stoliki:

— Może partyjkę szachów, księżu proboszczu...

Rena z uchylonemi ustami patrzy bez ruchu, jak na werandzie zapalono bładą lampę, jak roztańczyły się ćmy nad szachownicą, jak znika w błękitnej ciemności dym fajki.

Gorący ekstrakt głosu wsiąkł w zielenią ogrodu, wplótł się w srebrny łańcuszek śmiechu Heli.

Rena ścisnęła w dłoni szorstką rączkę Lilki. Bardzo zmęczona uciekła do białej stancji.

Pomyślała raz i drugi, bezsilnie: to ten!

I wtedy niespodziewanie przyszły łyzy. P zpląkała się bez sensu, zupełnie dziecinnie.

4.

Od tego wieczoru, kiedy łyzy wybiegły nieproszone na spotkanie nowej miłości, zmieniło się wiele. Przewszystkiem niema żadnych „rozczulań“. Powiedziało się: trzeba być jaknajbliżej słońca. Słońcem jest nietylko złoto, zsuwające się świetlistymi smugami z nieba, ale i uśmiech czerwonych ust i ciepło mocnego ramienia, władającego Dniem.

Spotkali się na placu (Lilka pocieszenie roztrącała piłki). Schwycił rakiety, narzucił pocisków: „szczurów“, „ciętek“. Zatrzepotała na trwogę biała sukienka

Reny. Roztańczyli się w przyspieszonym tempie gry. Piłki padały, jak białe gwiazdy, rzucane wybraną ręką. Trzeba było zaciekle, jaknajmocniej bronić się przed atakiem. Poszło jako tako: sześć (Roman) na trzy (Rena).

Wreszcie znieruchomieli na ławce pod brzozą.

— Będziemy codziennie, zgoda? Jutro ogram do szczerze, do zera!

I „jutro“ zaczynało się: czy aby będzie pogoda?

Po południu plac, przedzielony cieniem na dwie zmieniające kształt, części. Odwijał się rękaw na muskularnym, bardzo brązowym łokciu, duża dłoń chwytająca raketę i wykręcała w powietrzu łuk: proszę! zaczynam!

(Na ławeczce pod brzozą waruje Hela).

Wieczorem jasna (tennisowa) rzeźba greckiego bożka osnuwa się w salonową, czarną elegancję.

Salon (ledwie rozproszony światłem świec przy pianinie) gubi w sobie szare cienie słuchaczy. Pani Hela odnalazła na klawiszach melodię własnego serca. Roman śpiewa. Znowu serce obtulają szczerze smugi pachnących rozmarzeń, znowu siekają po nerwach akordy nieznanymi uniesień, rwie się na małe, czerwone strzępki słoneczny spokój dnia.

Do ogrodu, przez otwarte okna wylewa się strumień gorącego głosu, aby wrócić wraz z zapachem maciejki i wessać się w puszyste zasłuchanie...

Rena gładzi drżącą dłonią biały łeb charta.

Myśli: za dużo jest obecności ludzi niepotrzebnych (nie można oderwać od jądra rzeczy, wirujących, natrętnych elektronów). I właśnie teraz, na ostatnim pianissimo wysokiego c — tak nagle tego żal.

I zupełnie wielkim, czemś, co rozpala się iskrą w każdym atomie ciała, staje się rozkosz pierwszego dotknięcia: szeroki, ciepły płat męskiej dłoni zagubił w sobie, zdusił powolną, dziewczynską dłoń, opartą na białej szerści charta (żadna w życiu dłoń nie była tak bardzo naga).

Nie była dość długa ta kradziona chwila rozkosznej bezsily, aby wchłonąć w siebie wszystką słodycz, dławiającą gardło, aby spłynęła z policzków do serca wszystka rumiana wstydlivość.

— Przejdźmy na werandę, cudny wieczór — pani Hela trzasnęła wiekiem pianina.

Ciemny, wysmukły cień poszedł posłusznie wślad za rozkołysanym, jedwabnym Guerlain'em.

Rena sytą i bezwładną dłoń przycisnęła do głodnych, zupełnie zimnych warg.

— Nie można sądzić z punktu. Czasami życie stawia w kłamliwej sytuacji. Wierzę jednak, że pani nie myśli o mnie źle... — powiedział prosto, gdy właśnie Rena zbierała się rozwinąć swój niedość sformułowany i niedość odważny zarzut: pani Hela.

— ...takie dziewczęta, jak pani, świeże, nietraczone życiem, mają za dużo marzycielskiej egzaltacji. Myślicie, że podłość rośnie za każdym uśmiechem grzechu, że tylko zło może ściągnąć człowieka do upadku, i zaraz właśnie: do upadku... — (te słowa były owiane poważną melancholją).

Chce się wierzyć tym ciemnym, pięknym oczom. Za tą wolą przychodzi bardzo szybko wiara: on nie jest zły.

Zwierzenia konieczne, zwięzłe i gorące niosą upragnione wyzwolenie: on nie jest zły.

Fala piękna roztrąciła wątpliwości, siła niepokromionej (pierwotnej) męskości oszołomiła rozsądek. Słuchało się z nietajoną rozkoszą:

— ...pani, Reno, jest dla mnie zupełnie nową kobietą, inną. Marzy się o takiej tajemniczo uśmiechniętej, przezystej dziewczynie w chłopięcych snach... Chciałbym, aby mi uwierzyła, że niema w tem (moja sytuacja, miłość Heli) mojego grzechu... ja tylko muszę żyć... ja jej nie kocham... ja tylko muszę egzystować... Tak, pani tego nie rozumie.., trzeba dużo maledństwa tłumaczyć... powoli, delikatnie, żeby uwierzyło... żyję teraz zupełnie pod twoim urokiem, Reno...

Tu słowa zaczęły głaskać. Łaskotać wzruszeniem po skroniach. Zatrzepotały spłoszone rzęsy. Brązowe oczy miały teraz na sobie przedziwną mgłę, ni to leż, ni to zachwytu. Wreszcie czerwone usta umilkły.

Rozmowa poważna, szukająca najprawdziwszych tłumaczeń, zagasła w podwójnym uśmiechu: świat stał się wspólny.

Do altany wbiegła Lilka:

— Mamcia pana prosi!

Drugiego poranku wdzięczyły się w „białej stacji“ całe naręcza czerwonych kwiatów.

Stały się ważne zupełnie nowe drobiazgi:

włosy, rozcięte jasną smużką, muszą przylegać szczerze do obu skroni, tak, żeby tworzyły „madonnę“ („Reno, ma pani twarz grzesznej madonny“). Nos nigdy nie może błyszczeć. Szara sukienka jest najwięcej „do oczu“. Ręce („takie kochane dziewczynskie łapiska“) muszą pachnieć na codzień „narcisse bleu“.

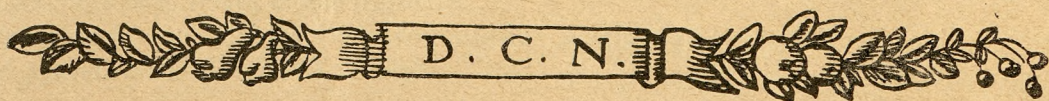
Powiedział Roman:

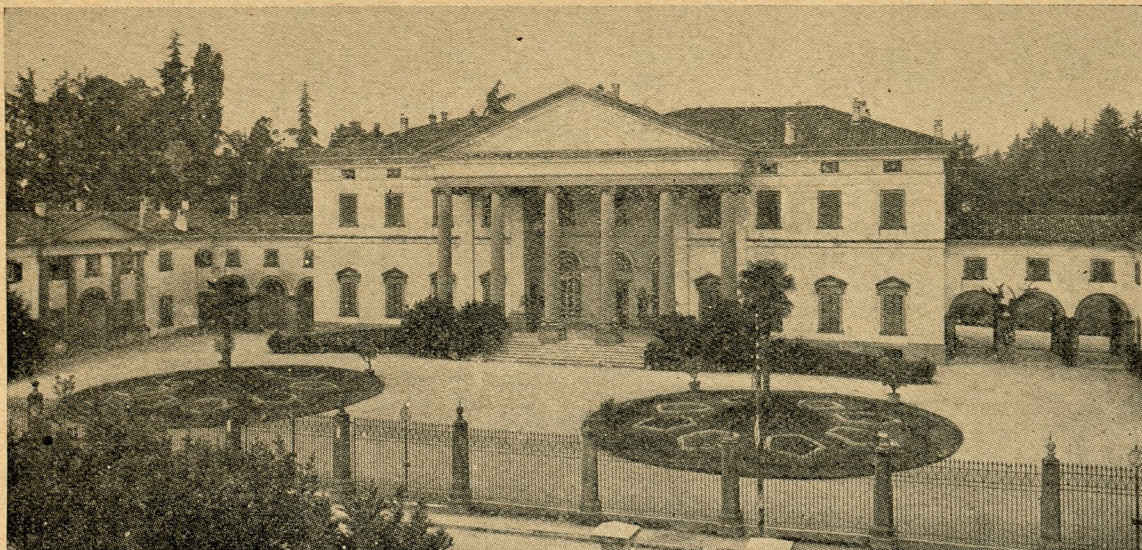
— Ciało jest bardzo ważne w życiu. Może być zimnem pięknem rzeźby (Venus miłowska), samospalającym płomieniem (Hela) i cudem młodości (Rena?!...). Więc trzeba:

- 1) opalić równiutko ramiona i kark,
- 2) przydać wdzięku pozom.

Lato. Upał. Sok słoneczny, ciekący strumieniami z nieba. Brązowe, radosne oczy. Rozigrane zmysły — to jedno, to treść życia. Wszystko inne zakreślone „na potem“, dalekie, odrzucane jeszcze dalej.

† Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska





Willa Caroli w Stezzano.

„ZIA VIRGINJA“⁽¹⁾

Siedzieliśmy, w piękny dzień letni, na ganku wiejskiego dworu w „Bergameńszczyźnie“.

Umyślnie polskich używam zwrotów, bo inaczej trudno mi oddać wrażenie, ogarniające mię w tej „złotopszennej“ Lombardji, mimo obcej mowy, nastrój serdecznego szlacheckiego domu, takiego, co „rozszerza białe ściany na przyjęcie gości“, gdzie na ścianach wiszą szerniałe portrety i wyblakłe fotografie powstańcze — domu owianego tradycją i legendą walki i patriotyzmu. Tu się mówi: dom z quarant'otto, z roku 1848.

Piliśmy czarną kawę, nalewaną ze staroświeckiego, ślicznie czyzelowanego, cynowego dzbanka, i podziwiali roztaczającą się przed nami panoramę: na pierwszym planie falujące złote łany zboża, dalej wzgórki zielone, uwieńczone groźną sylwetą średniowiecznego miasta, a w dali srebrne, mgiełką spowite, wiecznym śniegiem lśniące alpejskie szczyty. I ten zapach, ten zapach niezapomniany: słodka woń róż, zmieszana z ostrym aromatem górskich ziół i wędnącego siana.

Nagle staje przedemną, jak cień wyłaniający się cichutko z drzwi domu, wysoka, ciemna, szczupła

postać staruszki. Jakby ożyła która z fotografii albumu, niedawno przeglądane.

Typowa „ciocia“ ze starego polskiego dworu: gładko przyczesane białe pukle, „nioby“, kryzeczka u szyi, spięta duża brosza, koronkowe mankietki u długich, chudych, wytwornych rąk. Ciemno-fioletowa suknia, jakiś subtelny wdzięk, mimo starczych zmarszczek na długiej, pergaminowej, bladej twarzy.

— Ah, madame! — mówi zjawisko drżącym głosem — comme je suis heureuse de Vous connaitre, puisque Vous avez si bien parlé de ce pauvre Gigi...

Usłyszawszy, że mówię po włosku, staruszka ożywia się. Jest to siostra naszego zacnego gospodarza, hrabianka Virginja Benaglio, niegdyś, jak mi mówi potem, śliczna, romantyczna piękność, która jednak zamaż nie wyszła i ma lat przeszło osiemdziesiąt. Młodzież mówi, że zwykła sobie lekkomyślnością: „Ciocia, och! ma ponoć sto lat!...“.

Ciocia Virginja słyszała, że w książce mojej o „Nullu i jego towarzyszach“ są karty, poświęcone pamięci zmarłego tragicznie w Sybirze, Ludwika Carolego²⁾. Był to jej rówieśnik prawie, towarzysz jej mło-



Casa Benaglio.

dości, gdyż rodziny żyły w przyjaznych sąsiedzkich stosunkach, i młodzi, dziećmi jeszcze, bawili się razem, potem tańczyli... ileż natańczyli się z sobą!

— Czy pani wie — mówi staruszka, a głos jej drży wzruszeniem — że ja, ja ostatnia widziałam go, gdy jechał do Polski? Stałam tu, tu, przy murze — i wskazuje na wijący się w dole gościniec — pamiętam, był to śliczny, wiosenny poranek, nadjechał Caroli z Emanuelem Maironim. Lecieli jak burza, rwały ogniste kare konie, maleńki dwukołowy powozik chybotął się. Spóźnili się i śpieszyli na dworzec, co koń wyskoczy. Poznałam ich i krzyknęłam: „*Buon viaggio, Gigi!*”. Pani moja, ja mu życzyłam *szczęśliwej drogi!*

— Zdaje mi się, że go mam przed oczyma — mówi zamyślona — *Alto, suello, bellissimo*, wysoki, smukły, bardzo piękny. Włosy ciemne, faliste, twarz smagła, przecięta blizną, *balafre*, z jakiegoś pojedynku. Ileż bo on miał przygód! Nie człowiek to był, a płomień. A oczy, *Signora mia!* oczy, jak dwie błyskawice!

— My, dziewczęta, mówiłyśmy czasem: *Gigi, tu hai gli occhi di demonio!*

— A on był taki dobry i wesół, jak dziecko! Aż potem, gdy nieszczęsny romans z „tą Raimondi”³⁾ — (głos staruszki staje się twardy i ostry) — złamał mu życie, Ludwik stał się gorzki, ironiczny, wzgardliwy. Ludzie go unikali i on stronił od ludzi.

— Nasz dom, jeden z niewielu, dochował mu przyjaźni. Moja matka lubiła bardzo jego matkę: donna Annette była taka delikatna, taka miła! przejścia syna odczuła boleśnie. Może nawet z tego powodu umarła tak nagle, „*di crepacuore*”, na aneurizm serca.

— Umarła w r. 1861 w Stezzano — dodaje stara hrabina. — Pani, bawiąc tam, mieszkała właśnie w jej dawnych pokojach. Jaki to śliczny dom, jaki wesół był niegdyś! Pamiętam te cztery różowe marmurowe kolumny portalu, oplecione kwiatami. Kiedy byłam mała, zwracał mi uwagę stary kamerdyner, że słupy

te są z jednej sztuki, *di un pezzo*, i bardzo mi to imponowało.

— Teraz dom, choć zamieszkały, wydaje się smutny i pusty; tylko ogród! ogród jest zawsze bajkowy, *proprio un giardino di fiaba!* — mówi młoda czarnooka pani, córka domu.

Znowu staje w oczach przeraźliwy kontrast życia i śmierci tego, co zgasł „jak płomień na śniegu”. Biały pałac, tonący w różach, i szary drewniak sybirskiej „kazarmy”.

— Pani droga! — pyta zdławionym głosem staruszka — czy to prawda, że on, tam... kamienie młotem tłukł?...

Mówimy o moich poszukiwaniach obrazów i portretów. Dziwię się, że prócz zbladłej akwarelki, przedstawiającej Carolego w złocistym kasku szwoleżera, z dnejszej fotografii znaleźć dotąd nie mogłam. Przecież w tej epoce tak chętnie się fotografowano!

— Poszukam w swoich albumach — obiecuje mi dobra hrabina Benaglio — pewnie się znajdzie. Mam fotografię Elizy Agliardi, siostry Carolego, jest Bernard, brat starszy, znajdzie się i Gigi.

— Nie znajdzie się — mówi Zia Virginja — kiedy miał jechać z Nullem do Polski, prosiła go moja siostra o fotografię: *Mi da almeno una sua photographia!*

— *Non ho nessuna photographia* — odparł (wymawiał „r” gardłowo, z hiszpańska) — *non mi lascio mai photographare*. Nigdy się nie fotografuję.

(Rozumiem teraz, dlaczego znajduję wszędzie tylko zdjęcie, znane mi dawno, dokonane przez — policję rosyjską w Częstochowie. Brat Bernard przywiózł tę fotografię i dał ją skopjować).

— Bo to, widzi pani — ciągnie jakoś nieśmiało sędziwa *Contessina* — moja siostra, Wiktorja, była bardzo zakochana w tym biednym Ludwiku: *inamoratissima*. Mówiono jej: to szaleństwo z twej strony.

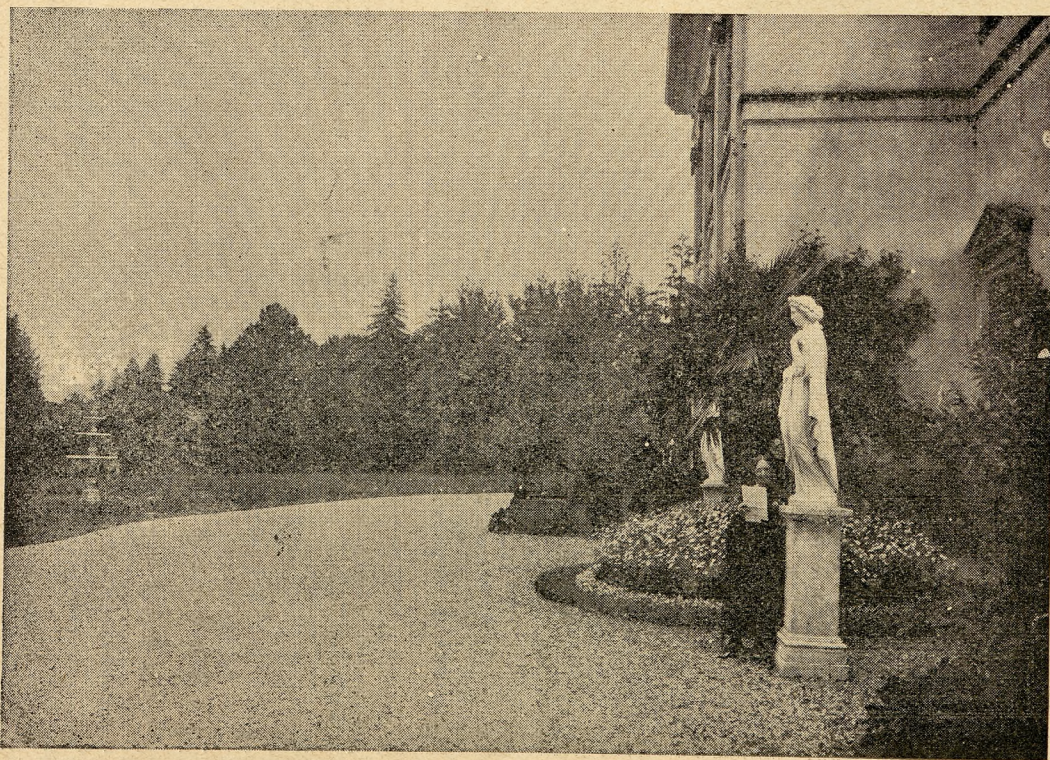
On jest związany z inną!... Daremnie. Tyle się napłakała. I zamąż nie wyszła, choć świetne partje jej się trafiały. Umarła młodo. Zapomnieć o nim nie mogła...

(Może nie ona tylko jedna).

Błada, długa, pergaminowa twarz płomieni się dziewczęcym rumieńcem, a usta szepcą:

— Mój Boże, tyle lat, tyle lat... *teraz można już o tem mówić!*

Karolina Bielańska.



Ogród w Stezzano.

¹⁾ Ciotka Wirginja.

²⁾ Jak wiadomo, Nullo zginął 5 maja 1863 r. a adiutant jego Caroli dostał się do niewoli i na Sybir.

³⁾ Marchesina Raimondi, druga żona Garibaldiego, którą tenże zaraz po ślubie opuścił, dowiedziawszy się o jej miłości dla Carolego.



LIST Z HELU

(Ludzie na plaży i „ludzie w hotelu”. — Sprawy „mstydlive”. — Syreny i fladry. — Co może kobieta...)

Morze aż oniemiało z podziwu i znieruchomiało z zachwytu... Przed dziesięciu laty puste i biedne wybrzeże, odwiedzane przez przygodnych wycieczkowiczów, stało się dziś reprezentacyjną polską plażą, na której można przekonać się naocznie o piękności i zdrowiu rasy oraz o tężyznie i sportowem wyszkoleniu młodego pokolenia. Z jaką rozkoszą oko spoczywa na tych brązowych, smukłych, gibkich ciałach chłopców i dziewcząt, zabawiających się grą w piłkę, lub improwizujących zawody lekkoatletyczne! Zbrała się to z morzem tak szybko, jakgdybyśmy od wieków byli narodem morskim: wszystko pływa, wiośluje, yachtinguje...

Tylu ładnych, wdzięcznych i dobrze zbudowanych kobiet mogłaby nam pozazdrościć niejedna modna plaża europejska. A co za rozmaitość strojów! Nie wiem, czy to zasługa nieocenionej Well, która podnieciła ambicje twórcze naszych pań, ale faktem jest, że zabłysnęły pomysłowością nietylko w drogich pyjamach jedwabnych, ale pokazały, co można zrobić nawet ze zwykłego meblowego kretonu. Kto wie nawet, czy właśnie te „kreacje” z najprostszymi satyn, kretonów i toile de soie, nie są najpiękniejsze i czy w nich nie odbija się najbardziej indywidualny gust właścicielek?

To też plaża roi się od najfantastyczniejszych postaci: cowbojek, pilotek, marynarzy, haremowych dam w szarawarach, indjanek w strzępiastych kapeluszach, nie mówiąc już o klasycznych sportsmenkach w wełnianym trykocie z paskiem, których „rozebranie” jest często szczytem prostoty i skromności wobec wyrafinowanej kokieterji „ubrania” pań pyjamywych. Widząc tyle splendoru, fale morskie aż przycichły i tylko przy brzegu szemrzą ścicha, niby zazdrosne kumoszki, niemogące się powstrzymać od złośliwych uwag.

Gdyby jednak morze mogło podplłynąć do serca

Helu (mowa o miejscowości, nie o całym półwyspie), t. j. do jego dwóch ulic, cofnęłoby się chyba z przerażenia aż do brzegów Szwecji.

Między śliczne rybackie domki, o holenderskim charakterze, wcisnęły się okropne „kamienice”, bez kształtu i stylu, strasząc zdaleka nagimi szczytowymi ścianami, wystającymi często o piętro lub wyżej, ponad poziom sąsiednich dachów. Ze stylu dawnej rybackiej wioski prawie niema śladu, zato wszystko nowe, co powstało, jest najohydniejszą miejską tandetą. Nowa ulica (!!), nazwana pompatycznie „Kuracyjną” — to szereg jakichś szop, werand, altan, przybudówek, stojących bez ładu i składu przy piaszczystej drodze, niby budy jarmarczne w najuboższym, zapadłym miasteczku. W każdym z tych „gmachów” mieści się stragan z warzywem, z pocztówkami, z „konfekcją” lub z fotografiami, oraz — obowiązkowo — lepsze lub gorsze jadalnie, łowiące gości na wędkę smakowitych kuchennych zapachów.

Możnaby pomyśleć, że to jakiś prowincjonalny Luna-Park, ale na to znów cały obrazek jest jednak za mało wesóły, przynajmniej — dla nas. Prawdziwą wesołość może wzbudza w Niemczech (a dużo ich odwiedza Hel), którzy, porównując tę pretensjonalną nędzę z komfortem swoich Sopot, uśmiechają się złośliwie, znajdując pewne ukojenie po bólu, jaki im niezawodnie sprawia fenomenalny rozwój Gdyni.

W miejscowościach nadmorskich zazwyczaj linja brzegu jest wytyczną, wzdłuż której dana miejscowość się zabudowuje. Dlaczego na Helu, prócz jednej kolonji Banku Rolnego, położonej nad brzegiem zatoki, wszystkie inne wille rosą sobie „dziko”, bez żadnego planu — oto pytanie, na które nikt tutaj nie umie odpowiedzieć!

O ile ludzie na plaży mogą się tu czuć wyśmienicie, o tyle „ludzie w hotelu” (willi, pensjonacie i t. p.)

są prawdziwymi ofiarami najdalej posuniętego prymitywizmu mieszkaniowego. Bo, jak można się czuć w willach, mających pretensje do kulturalnych wygod (nie mówię o komforcie, bo o tem nawet się tu nie marzy), a pozbawionych kanalizacji i wody?! Inne ma się wymagania, jadąc na „camping“, a inne, kiedy się człowiek wybiera do „miejscowości kąpielowej“.

Charakterystyczne jest, że rybaczki we wsi, odnajmujące pokoje, mają o wiele więcej zrozumienia dla potrzeb ludzi z miasta i o wiele bardziej starają się — mimo trudnych warunków — te potrzeby zaspokoić, niż różne pensjonatowe paniusie. Myli się, kto sądzi, że taka inteligentka, właścicielka lub dzierżawczyni willi, przejmując się choć trochę brakami swego gospodarstwa. Potrafi dać do dwuosobowego pokoju miedniczkę nie większą od salaterki, i miniaturowy dzbanuszek — i uważa, że wszystko w porządku. A skoro poprosi się o większy dzbanek, drugą miskę, karafkę, albo — co gorsze — o ciepłą wodę, wywiązuje się taki mniej więcej dialog:

— Pocóż pani tyle wody, przecież tu jest morze? — mówi zglupia frant gospodyni.

— Nie wolno mi się kąpać w morzu, a zresztą morska kąpiel nie może zastąpić mycia...

— Przesada, proszę pani! Nikt tu nigdy nie wymaga *tyle* wody.

Właśnie w tem sęk: „nikt nie wymaga...“ Kiedyś oburzałam się na pewną francuzkę, która długo mieszkała w Polsce, gdy twierdziła, że polki nie lubią się myć. Po różnych doświadczeniach w naszych uzdrowiskach, zaczynam przypuszczać, że było w tem trochę racji. „Nikt nie wymaga!“

Dużo się ostatnio pisze o wyborze odpowiedniego zawodu dla kobiet. Widocznie życie samo uznało,



że jednym z takich zawodów jest hotelarstwo (w teorii jakoś mało się o tem wspomina), skoro prowadzenie pensjonatu i odnajmowanie pokoi jest źródłem utrzymania tysięcy kobiet. Pomimo to jednak same kobiety, widocznie, nie chcą uznać tego sposobu zarobkowania za istotny zawód, gdyż ciągle traktują go nietylko po dyletancku, ale z najwyższą nonszalancją.

Nie wiem, dlaczego prowadzenie pensjonatu miałyby być jedynie przywilejem podupadłych hrabinek i wdów po dostojnikach, jak to się zwykle czytuje w feljtonach, ośmieszających różne nasze „Szeherazady“, „Rusałki“ i „Wiochny“. Gdyby zawodowi temu poświęcały się kobiety młode, pełne energii i — co najważniejsze — *fachowo przygotowane* — feljtoniści straciliby wprawdzie jeden z najwładniejszych tematów, ale też jedna z największych bolączek naszego życia uzdrowiskowego zostałaby usunięta.

Gdyby kobiety, pasożytujące na hotelarstwie, chciały włożyć w swą pracę przynajmniej tyle wysiłku, inicjatywy i dobrej woli, ile „letniczki“ kładą choćby w odpowiednie wyekwipowanie się na plażę, czy na deptak, gdyby jedne chciały zerwać z karygodnym dyletantyzmem, a drugie — z zupełną obojętnością na sprawy mieszkania i higieny — w warunkach bytowania w naszych kąpieliskach wiele mogłoby się zmienić na lepsze.

Pomimo licznych braków, Hel ma jednak wabik. Wymyśla się na różne helskie braki, na czem świat stoi, porównywa się pocziwy Bałtyk z szafirem Adrjatyku, ma się pretensję o niebo za szare, o wodę zbyt zimną, o wiatry zanadto porywiste; ale niech tylko wyjrzy słońce, niechaj morze wystroi się w płochliwe falbanki fal, lub zmarszczy lekko w melancholijnej zadumie — niechaj tutejsze lasy wyciągną swe zielone ramiona i otulą człowieka w upojną, pachnącą ciszę — rzadko kto oprze się tym urokom i nie powie: „A jednak Hel jest piękny!“

Stefanja Heymanowa.

POLKI NA TAMIZIE

Kiedy przed paru laty do placówek dyplomatycznych polskich rozesłano jakieś wydawnictwa propagandowe, pewien nasz dyplomata z Anglii powiedział:

— Lepiej zabierzcie tę bibułę, a przyślijcie nam jednego dobrego boksera. Wtedy nie będziecie potrzebowali troszczyć się o propagandę polską w Anglii.

Kult siły, jaki wytworzył się już od wieków w psychice każdego syna Aibjonu, znajduje swój wyraz w sportowych zainteresowaniach anglików. Anglii bez sportu nie można sobie wyobrazić, tak, jak nie można podejść do psychiki Anglika, nie doceniając zagadnienia sportu. Napewno żadne wielkie wydarzenie nie emocjonuje czytelnika gazet angielskich tak, jak doroczny wyścig wioślarski Oxford — Cambridge, a turniej tenisowy w Wimbledon jest niewątpliwie zdarzeniem o wiele bardziej doniosłym, niż wizyta zagranicznych ministrów lub zebranie Ligi Narodów.

Cóż więc biedni polacy, doniedawna Kopciuszki sportowe Europy, mogliśmy zdziałać dla naszej propagandy w Anglii? Czyż wielu Anglików wie o tem, że Curie-Skłodowska jest Polką, lub że nagroda Nobla niejednokrotnie przypadła Polakom w udziale? To nie są tematy, które drukuje popularna prasa wieczorna, czytana przez wszystkich pasażerów kolejek podziemnych, gdy strudzeni całodzienną pracą wracają do swych domów.

To też sądzę, że od czasu odzyskania naszej niepodległości ambasador Polski w Londynie mało przeżył dni tak podniosłych, jak pierwsze dni tegorocznego sierpnia. Taki, zdawałoby się, nic nie znaczący fakt, jak wyjazd kilku wioślarek polskich zagranicę.



Zwycięska czwórka polskich wioślarek.

stał się okazją do wielkiej manifestacji zwycięskiej Polski.

Warszawski Klub Wioślarek miał szczęśliwy pomysł i dobrze się zasłużył naszej propagandzie zagranicą.

A, mówiąc stylem starych kronik, było to tak:

Przed dwoma laty ruchliwy Klub Wioślarek Warszawskich zaprosił do Warszawy osadę angielskiego klubu wioślarskiego. Odważne Angielki (bowiem w pojęciu Anglika wyjazd do kraju tak nieznanego, jak Polska, jest czynem odwagi) pokazały wysoką klasę stylu wioślarskiego, ale udowodniły nam jednocześnie, że i my możemy być dumni ze swego dorobku. Wioślarki warszawskie wygrały wówczas bieg czwórki, tylko panna Grabicka na jedyńce uległa Angielce. Zwykła w naszym społeczeństwie niewiara we własne siły osłabiała znaczenie tego zwycięstwa. Mówiło się, że to dlatego, iż nasze wioślarki znają koryto Wisły, a cudzoziemki nie umiały sobie dać rady z nurtem, przypisywano im zbyt wielkie zmęczenie podróżą itd. itd. Nic też dziwnego, że ufne w swe siły wioślarki niecierpliwie oczekiwały spotkania rewanżowego, aby móc dowieść, że tam to zwycięstwo nie było przypadkowe.

26-go lipca wyjechały nasze wioślarki do Anglii, a opinia polska czekała wyniku tego spotkania z wielką rezerwą. Jechać do kraju, gdzie przecież narodziło się wioślarstwo regatowe, gdzie sport ten uprawiany jest od kilku pokoleń — toż to ryzyko! Tej niepewności naszej opinii umiały polskie wioślarki przeciwstawić zdecydowaną wolę zwycięstwa.

Pierwsze spotkanie odbyło się na Tamizie pod Londynem. Licznie zebrana publiczność z zaciekawieniem oczekiwała wyniku, gdyż znawcy, którzy obserwowali kilkodniowy trening na-



Dwie rywalki: Angielka Chamberlen i Polka Grabicka.

szych wiosłarek, wyrażali się o ich umiejętności z wielkim uznaniem. Na pierwszy ogień poszły jedynki, wąskie, rasowe łodzie, na których jedynie piórkami wiosła utrzymuje się równowagę. Dystans wynosił 1500 metrów. Z początku prowadziła Angielka, lecz Grabicka po przebyciu jakiejś trzeciej części trasy wysunęła się naprzód, prowadząc o pół długości łodzi. Mimo ostrzeżeń sędziowskich panna Chamberlen coraz bardziej przysuwała się do toru polki, aż wreszcie zawadziła wiosłem o wiosło Grabickiej tak silnie, że nasza wiosłarka zachwiała się ze swą łodzią i o mało nie przewróciła. Podziwiać trzeba dużą przytomność umysłu Grabickiej, że, pomimo chwilowej konsternacji i zatrzymania łodzi, zdołała się opanować i gonić Angielkę, przybывая z nią jednocześnie do mety. bezstronni sędziowie angielscy przyznali polce pierwszeństwo.

Pełną satysfakcję uzyskała jednak panna Grabicka w dwa dni później, kiedy na wzburzonych falach Tamizy pod Greenwich pozostawiła za sobą Angielkę znacznie z tyłu, gdyż panna Chamberlen utraciła siły w walce z falami i biegu nie skończyła.

„Mała Janeczka“, jak ją często nazywają koleżanki klubowe, dowiodła raz jeszcze swej wielkiej siły fizycznej i psychicznej. Panna Grabicka ma bowiem za sobą (napewno i przed sobą) piękne karty w sporcie, a śmiało możemy ją uważać za jedną z najszechstronniejszych sportswomen polskich. Doskonała lekkoatletka, osiągnęła już niejedno zwycięstwo, a jeszcze w tym roku stawiała do mistrzostw Polski. Jako szermierka, zdobyła na mistrzostwach drugie miejsce, a na zawodach narciarskich pod Bielanami w rekordowym czasie zrobiła trasę, wymaganą na odznakę. W jaki sposób przy swej intensywnej pracy zawodowej znajduje czas na to wszystko — pozostanie tajemnicą jej pogodnej, pełnej zapału, psychiki.

Wróćmy jednak nad Tamizę, gdzie najlepsza czwórka wiosłarek angielskich, wybrana z klubu Isleworth, mierzyła swe siły z naszą osadą. Polki świetnym stylem i wykazując doskonałą postawę, ukończyły bieg zwycięsko, pozostawiając za sobą przeciwniczki o długość dwóch łodzi.

Publiczność angielska, o której niesłusznie sądzą, że jest chłodna, okazała niesłychany entuzjazm. Możliwe powiedzieć, że nazwiska Polek nie schodziły z ust publiczności, gdyby nie to, że każdy szanujący się Anglik uważa za rzecz konieczną narzekanie na „niewymawialność“ nazwisk polskich. Łamali więc sobie języki, ale podziwu dla Polski nie osłabiły te lingwistyczne trudności. Angielki pobite u siebie, w swoim własnym kraju — to nie mogło nie zaimponować narodowi, który kult dla siły stawia na pierwszym miejscu.

Jeżeli w dwa dni później piętnastotysięczna publiczność w Greenwich oczekiwała rewanżu Angielek, to zawód musiał być bolesny. Nasze wiosłarki, choć nieprzyzwyczajone do takich fal, jakimi w tym dniu burzyła się Tamiza, zwyciężyły ponownie. Osada pod sterem panny Kozuchowskiej została uznana za niezwyciężoną.

Może tam jakiś zatabaczony profesor (bo choć tabaka wyszła z mody, ale tacy profesorowie żyją niewątpliwie) powie, że wszystko to głupstwo, że nic nie przyjdzie nikomu z tego, iż prędzej przybył na metę; ja jednak jestem pewna, że autorytet Polski w Anglii podniósł się o wiele, wiele stopni.

A sportowcy raz jeszcze skonstatują, że w Polsce laury międzynarodowych spotkań zbierają przede wszystkim kobiety.

W. Prazmowska.



HITOMI

Krótki depesza z Tokio zawiadomiła poselstwo japońskie w Warszawie o śmierci Hitomi. Nie dotarły do nas gazety z bliższymi szczegółami, nie wiemy nawet napewno, na co chorowała, ale wiemy jedno, że Japonja okryła się wielką żałobą.

Ta młodzieńca Japonka, która żyła zaledwie 24 lata, skupiła w sobie całą siłę swej rasy. Na wielkich międzynarodowych igrzyskach sportowych, w których kilkakrotnie brała udział, całym zespołom zawodniczek innych krajów przeciwstawiła się jedna jedyna Hitomi. I ta, samotna na Igrzyskach, Japonka sprawiała, że dziesiątki tysięcy ludzi oglądały biały sztandar z czerwonym kręgiem i słuchały melodyjnych dźwięków japońskiego hymnu.

Na zapowiedź wywoływacza, że Hitomi startuje, poruszały się wszystkie głowy widzów, a zwycięstwo jej wywoływało entuzjazm całej publiczności, chociaż ta publiczność była tak obca. Każdemu krokowi Hitomi towarzyszył zawsze szmer szepotów: „patrzcie: Hitomi, Hitomi!“. Była nie tylko fenomenem sportowym wszystkich Igrzysk, ale jakiś tajemniczy urok otaczał jej osobę.

Hitomi, zwyciężka, z Göteborgu czy Amsterdamu, budziła podziw niezwykły, ale Hitomi w Pradze w ubiegłym roku, zwyciężana już w wielu konkurencjach przez nowe gwiazdy, budziła jeszcze większy podziw i ogromną serdeczność. Hitomi nie była już w tak dobrej formie. Na twarzy jej, gdy biegła za Walasiewiczówną, widać było wielki, może nawet ostatni wysiłek, a jednak biegła. Może, gdyby reprezentowała tylko siebie, nie stawałaby do wszystkich konkurencyj, nie starałaby się tak usilnie o zajęcie pierwszych miejsc, gdy była już zmęczona i wyczerpana. Ale przecież ona nie reprezentowała siebie. Dla siebie miała już dosyć zaszczytów i sławy. Ona tu, wśród tych tłumów białej rasy, reprezentowała swoją daleką Ojczyznę — Ojczyznę, która liczy na jej zwycięstwo. I ta niesłychana ofiarności Hitomi, pomimo widocznego zmęczenia, zjednywała jej serca wszystkich. Tłum, który zawsze ma kult dla nowych gwiazd, który też nie szczędził entuzjazmu dla Walasiewiczówny, całym sercem jednak zagrzewał do zwycięstwa Japonkę: „Hitomi! Hitomi!“.

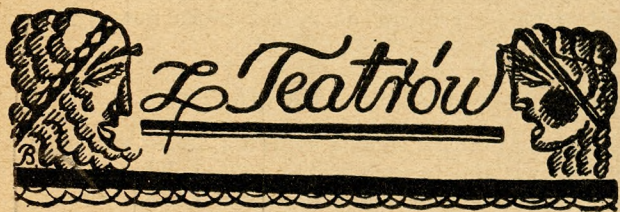
A niestrudzona Japonka, która tak ofiarnie walczyła w Europie o zwycięstwo swego sztandaru, równie ofiarnie pracowała w ojczyźnie. Jako nauczycielka wychowania fizycznego, była pionierką ruchu odrodzenia fizycznego kobiet japońskich. Poświęcała temu cały swój czas i wszystkie swoje siły. Na ostatnie Igrzyska do Pragi przywoziła już swoje uczennice.

Śmieszne, małe dziewczyneczki wykazały dużą ofiarność, ale do wyników ich mistrzyni było im bardzo daleko.

Cała Japonja kochała Hitomi. Każdy, kto się z nią zetknął, pozostawał pod urokiem jej pogodnego uśmiechu, jej życzliwości dla wszystkich. Córa rasy, która tak genialnie umie maskować swe uczucia, miała tyle impulsywnej serdeczności dla każdego. Jeszcze widzę ją, jak przechodząc przez wagon restauracyjny w drodze z Pragi do Warszawy, kładzie torebkę cukierków przy nakryciu Konopackiej. Nie było w niej cienia zazdrości. Życzliwość, jaką zawsze okazywała naszej mistrzyni, była odruchem jej prawdziwej, wewnętrznej serdeczności. Jak mały Kim, była przyjaciółką świata.

Odeszła. Ofiarna praca dla ojczyzny wyczerpała jej orgaizm, który nie umiał już zwyciężyć groźnej choroby. Okryła żalobą całą Japonję, a nam została na zawsze wspomnienie swej promienności i swej mocy. Jasny promień z krainy wschodzącego słońca.

W. P.



TEATR NARODOWY.

„Jastrząb” — sztuka w 3-ach aktach F. Croisseta, przekład L. Chrzanowskiego, reż. Janusza.

Jest to jedna z tych przemiłych salonowych komedii francuskich, których osią jest miłość do kobiety.

Miłość z nieprawdziwego zdarzenia: uskrzydla i łamie ludzi. Miłość, jak stary dagerotyp, oprawna w ramy cyzelowanego dialogu, w którym błakają się romantyczne echa Musseta. Dzisiejszy spauperyzowany inteligent chętnie odświeża się w tej atmosferze płytkiego wykwintu, wstrząsanej piorunami żywiołowych namiętności, które przechodzą, jak burza, ponad wnętrza, pełnymi wspomnień, poczerńiałych obrazów, wyblakłych „Ludwików” i jednodniowych uśmiechów losu.

Nowoczesność w postaci amerykańskiego businessmana (standaryzowany Deus ex machina) jeszcze bardziej pogłębia dystans, jaki dzieli nas, przyziemnych gryzoni o startych zębach i spiłowanych pazurach, od tych jastrzębi, których drapieżność ma w sobie czar rycerskiego rozboju. Croisset jest francuzem, więc w imię miłości rozgrzesza wszystko, nawet... oszukiwanie w karty. Zresztą, jak sam to zaznacza, ma pod tym względem świetne tradycje: kawaler de Grioux też ratował się szulerką, aby utrzymać przy sobie Manon.

Nie dziwimy się przeto i my, że piękna Maryna, nawrócona na drogę prawości przez kochanka, woli wrócić do męża, skruszonego szulera i morfiny, nietylko może w imię wyższej etyki — jak to tłumaczy kochankowi w paru prześlicznie skonstruowanych frazesach pożegnalnych — ile poprostu dlatego, że ten mąż dla niej właśnie został... złodziejem. Powrót Maryny do „jastrzębia” — to nie rehabilitacja: to triumf królowej, która w miłosnym turnieju obdarza sobą nie tego, który jest więcej wart, ale tego, który ją więcej kocha.

Teza bardzo kobieca, spreparowana po francusku: ze smakiem i bez zbytecznej pikanterji. Żeby ją uwypuklić, autor wprowadził kilkanaście osób niepotrzebnych. Dramat trojgą mógł się przecież obejść, przynajmniej na scenie, bez przypadkowych gapiów i intruzów, skoro w życiu niema na nich... krzesła elektrycznego.

Junosza-Stepowski był jastrzębiem o lwich pazurach. Nic

dziwnego, że Majdrowiczówna wołała go od Łuszczewskiego. Podziwialiśmy jej niewzruszoną dystynkcję, z jaką nietylko obnosiła po scenie swoje prześliczne tualety i kosztowne futra, ale płynnie, jak przez radio, wygłaszała słowa, w których brzmiał tylko salon — namiętność bez śladu wyciekła. S. P. O.

TEATR LETNI.

„Śledztwo” — sztuka w 5-iu aktach M. Alsberga i O. Hessego. Przekład Jacka Frühlinga.

Autorzy „Śledztwa” nie poprzestali na — dosyć nikłej zresztą — akcji sądowo-kryminalnej, ale starali się ją „uszlachetnić” przez wprowadzenie pierwiastka satyryczno-psychologicznego. Skutkiem tego nastąpiło pewne rozstrzelenie i rozbieżność zainteresowań autora i widza.

Środkiem ciężkości zainteresowania widza jest z natury rzeczy pytanie: kto zabił? — Autora, wiedzącego zgóry, jak rozplącze nici intrygi, interesuje przede wszystkim ten moment psychologiczny, kiedy sędzia-automat przeradza się w człowieka-ojca. Problem bezstronności sędziów poddany tu jest ostrej, ale nieco prymitywnej krytyce.

Nawiasowo rzucono też wyzwanie ustalonym formułkom konwencjonalnej moralności, poruszono odwieczne złoza hypokryzji, dzielącej starsze pokolenie od młodego. Coś, niby echa „Buntu młodzieży”, niepoparte należycie przez rozwój akcji i nieuzasadnione istotną jej potrzebą.

Na dobitkę, Nemezis życiowa: sędzia obchodzi jubileusz, tysiąca spraw kryminalnych, w których dzięki przeprowadzonemu przez niego śledztwu uzyskano wyrok potępiający. Wśród obwinionych niewątpliwie byli ludzie niewinni, którym udowodniono zbrodnię zapomocą mechanicznego systemu śledztwa, uwzględniającego tylko poszlaki z pominięciem psychiki oskarżonego. Ten system mści się na sędzi w sposób najboleśniejszy: w miesięcznej sprawie ofiarą jego śledczego zaślepienia omal nie pada jego własny syn.

Podobno jednym z autorów „Śledztwa” jest znany adwokat berliński. To nam tłumaczy tę zjadliwą zawziętość, z jaką tropi tępotę sędziowską. Jakże łatwo zdystansować tego rekordzistę w śledztwie, a tumana w życiu! Wszyscy są domyślniejsi i bardziej pomysłowi od niego. Nietylko adwokat (to się samo przez się rozumie!), ale i skromny buchalter-filozof, i dzieci sędziego, nawet żona, zahukana pruską domową komendą męża.

Ten pruski duch wyłazi wszystkimi szwami i szparami sztuki, jak robactwo. I on to przede wszystkim nawiązuje, kosztem intencji autora i ponad nią nieoficjalny niejako węzeł porozumienia między sceną, a widownią polską. Autor niezupełnie zdawał sobie sprawę, że nietylko zdziera tożę z sędziów niemieckich, ale obnaża niemilosiernie tego kościotrupa, któremu na imię pruska moralność, pruska dyscyplina, pruski system rządzenia. Pomimo taniej demagogji, jaką autorowie kokietują publiczność międzynarodową, sztukę owiewa raczej duszna atmosfera niewolnictwa, niż szeroki oddech wolności.

W realizacji polskiej dano jej oprawę staranną, choć niejednolitą. Brydziński sędziego-tumana i fanatyka podniósł do godności tragizmu. Cierpiał i wąpił przekonywująco i z tą intuicją artystyczną, która z każdej przez niego odtwarzanej postaci tworzy żywego człowieka. Z pozostałych aktorów doskonałą kreację tropionej przez los istoty dał Solarski w roli pod sądne. Gielniewski z epizodu recytatora-kabarecisty stworzył sylwetę wyrazistą, pulsującą szczerym humorem w każdym rysie.

Kobiety w „Śledztwie” są naogół i uczciwsze, i prostsze, i.. logiczniejsze od mężczyzn, a przez to bledsze i mniej interesujące. Balcerkiewiczówna poraz pierwszy miała rolę dłuższą, ale jednostronnie patetyczną.

Przekład staranny i poprawny odznacza się żywością i naturalnością w dialogach. Dekoracje z „Dnia jego powrotu”, widać fatalistycznie związane z tematem kryminalnym. S. P. O.

KOBIEȚA W ŚWIECIE I W DOMU

PROSIMY O POLKĘ!

Na tegoroczną wrześniową sesję Ligi Narodów pełną delegatką angielską została Zuzanna Lawrence, delegatką zastępczynią Miss Mary Hamilton. Poraz to pierwszy Anglja wysyła kobietę w delegacji, dając jej absolutne pełnomocnictwa. Miss Lawrence była w roku zeszłym tylko zastępczynią. Nawet konserwatywna Anglja zdecydowała się więc na powierzenie swych spraw w kobiece ręce!

ROŚLINA KRÓLOWEJ.

Napewno każda z pań (których obecnie jest tak wiele!), z wdziękiem trzymająca w wymanicurowanych paluszkach eleganckiego papierosa, wie, że „wynałazcą“ tytoniu był francuz, Jan Nicot. Zato napewno nie wszystkie panie słyszały, że wynalazkiem swoim leczył Nicot jedną z najgłośniejszych monarchii francuskich, Katarzynę Medycejską.

Jak doszedł Nicot do odkrycia tytoniu i jego własności?

Jako młody prawnik, został, po ukończeniu uniwersytetu paryskiego, wysłany do ambasady francuskiej w Lizbonie. Portugalczycy ówczesni pierwsi palili liście tytoniowe, ale Nicot, spróbował ich odurzających własności, wpadł na pomysł zastosowania tytoniu przeciwko bólowi nerwowym i przesłał liście tytoniowe królowej Katarzynie, chorującej stale na migrenę.

Dziwne było jednak to, że liści owych nie palono, a tylko zasuszone i sproszkowane przykładano do głowy. Czy to istotnie coś pomogło? Chyba tak, bo królowa hojnie wynagrodziła młodego człowieka i uważała się za wyleczoną. Tytoń nazwano wtedy, na cześć tej kuracji, „rośliną królowej“.

Niestety, wynalazcy zaszkodziło powodzenie. Nie wszyscy ograniczyli się do używania cudownych listków wyłącznie w wypadku choroby: zaczęto namiętnie palić tytoń w fajkach i zażywać go sproszkowany, jako tabakę, tak, że wkońcu surowe, a niezawsze mądre, prawa owych czasów zabroniły jego używania. Nicot umarł w niedostatku. Teraz zato obchodzone we Francji bardzo uroczyste 400 lecie urodzin tego, który skarbowi państwa przysparzał przez szereg stuleci tak poważnych dochodów.

DRUGA KONFERENCJA OPEN DOOR INTERNATIONAL.

Międzynarodówka „Otwartych Drzwi“ zwołuje do Sztokholmu, na dzień 17 do 21 sierpnia r. b., drugą konferencję, poświęconą wyzwoleniu ekonomicznemu pracownicy.

Wezmą w niej udział delegacje Anglji, Danji, Finlandji, Francji, Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, Indyj, Japonji, Norwegji, Holandji, Niemiec, Palestyny, Szwecji i Szwajcarii. Wszyscy sympatycy tej organizacji są proszeni o wzięcie udziału w tej konferencji.

Polska nie należy do Międzynarodówki „Drzwi Otwartych“. Na szeregu konferencji kobiecych zdecydowano, iż polski świat kobiecy uznaje niezbędność specjalnego prawodawstwa ochronnego pracy kobiet, a to z uwagi przede wszystkim na macierzyństwo kobiety; to też na konferencji w Sztokholmie urzędowej delegacji Polski nie będzie.

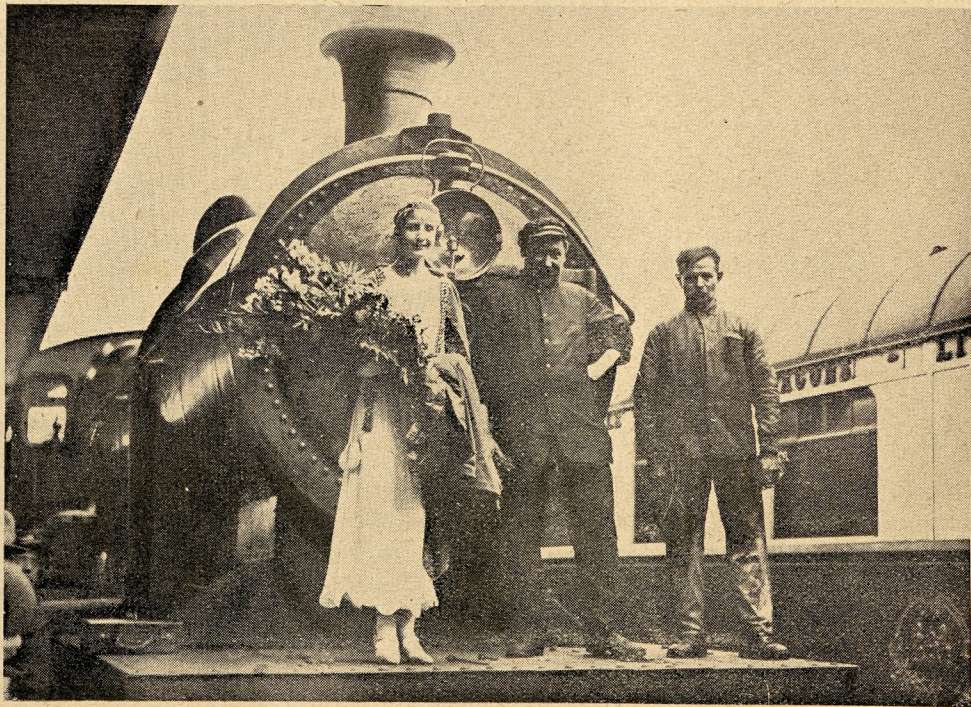
Po konferencji urządzona zostaje w Sigtuna letnia szkoła, poświęcona sprawie emancypacji ekonomicznej kobiet. Rozważane będą następujące tematy: położenie kobiet w trade-unionach; kwestja podnoszenia ciężarów; racjonalizacja przemysłu i jej rezultaty dla pracownicy; funkcje fizjologiczne kobiety i ich wpływ na jej zdolność do pracy; praca nocna; filozofja feminizmu.

ZŁOTY ŁAŃCUCH.

Co znaczy ta biała, smukła sylwetka dziewczęca obok palacza, na tle wielkiej, amerykańskiego typu, lokomotywy? To królowa kolejarzy angielskich, Miss Mabel Kitson.

Angielski związek pracowników kolei zapatruje się odmiennie, niż reszta świata, na sprawę konkursów piękności: z wyborem swojej Miss połączyli kolejarze cele zawodowo-społeczne. Ich „królowa“ co rok odwiedza związki kolejarzy, w coraz innym kraju, a celem tych odwiedzin jest zapoznanie się wzajemne, omawianie swych potrzeb i planów kulturalnych. Co rok też, w czasie wizyty „królowej“, ten związek krajowy, który ją gości, ofiarowuje złote ogniwo do łańcucha, noszonego przez królowę podczas uroczystości, a stanowiącego widomy symbol jej władzy i kulturalnej łączności związków kolejowych.

W tym roku Miss Kitson odwiedziła Belgję; rycina przedstawia moment przybycia „monarchini“ na dworzec kolei południowej w Brukselli.



Piękna Miss i palacz.



Tylko usiąść i popłynąć!

JAK ZLECA, TO SIĘ WYKĄPIA.

Kalifornijki nie mogą uspokoić się w wynajdywaniu coraz nowych sportów wodnych: pływanie na desce, przyczepionej do motorówki; strzelanie na tejsze desce z łuku, do celu w czasie jazdy; tenis wodny, foot-ball wodny i nie wiadomo, co jeszcze. Otóż obecnie wymyśliły te piękne panie coś jeszcze nowszego: wiosłowanie na krążkach gumowych. Przyrząd taki, zupełnie podobny do pasa ratunkowego, puszcza się na wodę; niewiasta siada pośrodku, poczem wiosłuje małym, przypominającym kajakowe wiosłkiem. Bardzo miła przejażdżka i bezpieczna: do „łódki“ nigdy nie należy się wody, a wiosłarka, nawet, jeżeli, wpadnie w fale, może zawsze dopłynąć do brzegu, jeśli nie *na* łodzi, to *przy* niej.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Bolesna jest zawsze strata dzielnej jednostki społecznej, boleśnieszka stokrój, gdy ubywa człowiek w pełni sił, człowiek, który zdziałałby mógł jeszcze wiele. Taką stratą jest zgon dr. Sławomira Czerwińskiego, ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Prawie nagle, po udanej pozornie operacji, zmarł wskutek wyczerpania serca.

Ś. p. minister Czerwiński pochodził z kaliskiego, w Kaliszu kończył gimnazjum, doktoryzował się na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jeszcze w gimnazjum należał do energicznych inicjatorów strajku szkolnego, to też w r. zeszłym obecny był na uroczystościach 25-cio lecia strajku w Kaliszu, który był świadkiem pierwszej jego działalności patriotycznej.

Po kilku latach pracy nauczycielskiej, objął urząd wizytatora Seminarjów nauczycielskich, potem podsekretarza stanu w ministerstwie W. R. i O. P., w r. 1929-ym otrzymał nominację na ministra.

Na tem stanowisku rozwinął zmarły niepospolitą energię dla wprowadzenia w życie szkoły ducha państwowości polskiej,

jak również zmiany programów szkolnych, zastosowanych do nowych potrzeb polskiego życia. Prace te, zakrojone na szeroką skalę, wykonywane z wielkiem umiłowaniem podjętego obowiązku, przerwała śmierć niespodziewana.

Ś. p. Czerwiński był pierwszym ministrem polskim, zmarłym na stanowisku. Pogrzeb jego odbył się z wielką uroczystością, wziął w nim udział, przybyły specjalnie ze Spawy, Pan Prezydent Rzeczypospolitej, rząd, przedstawiciele Sejmu i Senatu, rektorzy wyższych uczelni i delegacje szkół z całego kraju i licznych stowarzyszeń.

W świecie politycznym nastąpiła cisza oczekiwania, zresztą nie będzie ona długa. Świat czeka, załóżmy się, że nie bardzo wie, na co. Ma nadzieję poprawy, to jest ma nadzieję, że niemiecy się poprawią. Ci zaś, przeciwnie, myślą, że to im uda się, nie wyrzekając się swych postulatów, poprawić swoją sytuację. Obecnie ministrowie niemieccy pojechali do Włoch. Zapytałby znowu można: poco? Pieniądzy tam nie dostaną, bo Włochy mają ich niewiele; poparcia moralnego? Chyba nie warto szukać go w kraju, którego przedstawiciel, minister Scialoja, podczas debatów w Trybunale Haskim nad sprawą Anshlusu, powiedział bez ogródek (czego nie wyrazili nawet francuzi), że Anschluss to poprostu wypowiedzenie wojny. Ale nawet gdyby i nie Anschluss, to Włochy zawiele dziś potrzebują Francji, aby zbyt energicznie podtrzymywać politykę niemiecką. Cała więc ta wizyta nie przyniesie pewno wielkich rezultatów.

Zato w ostatniej chwili depesze doniosły światu pewną niespodziankę: plebiscyt pruski nie udał się nacjonalistom. Chcieli obalić przynajmniej w Prusach (w których jednak rozstrzygają się najważniejsze sprawy Rzeszy) rząd zbyt jeszcze w ich mniemaniu skłonny do pacyfizmu i zrobili kłapę. Na 26 milionów uprawnionych do głosowania, otrzymali nacjonalisci tylko 9 milionów z małym dodatkiem. Kadencja sejmu pruskiego kończy się i tak w kwietniu, będą nowe wybory, które nie wiadomo jak wypadną, ale bądź co bądź w tej chwili skrajni wojownicy pruscy przegrali, może się to światu na co przyda!

ZAKOPANE—BRISTOL

Adres:

Hotel Bristol, Zakopane.—Tel. 315.

Najtańszy reprezentacyjny hotel-pensjonat.
Zaciszne, zdrowotne i malownicze położenie nad potokiem
Idealne warunki wypoczynkowe—pierwszorzędny
komfort. 850

CENY BARDZO UMIARKOWANE.

NASZA MÓWNIKA

Dwa budżety (w odpowiedzi p. Leonardzie z Podola).

Wszystko, cokolwiek pisane było w kwestji równowagi budżetu urzędniczego, z chwilą 20 proc. niżki stało się nieaktualne.

Poprzednio pisałam o dwóch najniższych kategoriach urzędników etatowych, X i XI, biorących 254 zł. i 205 zł., które z dniem 1 lipca r. b. otrzymały 201 zł. 55 gr. i 174 zł. 29 gr. Układanie budżetu zaczęło się więc nanowo.

Równoległe ze zniżką plac, nie zniżono cen mieszkań, ani artykułów pierwszej potrzeby.

Chciałabym bardzo, aby panie, zabierające głos w tej kwestji, wypowiedziały się, czy istnieje pewne minimum budżetu, czy nie. Mnie praktyka i obserwacja życiowa nauczyły, że to minimum istnieje, skutkiem czego, siłą konieczności, tworzą się dwa budżety: 1) wystarczający (może być minimalny) i 2) niewystarczający, czyli głodowy.

Jeżeli istniało pewne minimum, to wobec powtórnej niżki plac, zapowiedzianych redukcji i zamykania przedsiębiorstw prywatnych — budżet mały, gdzie niema już z czego oszczędzić, staje się coraz bardziej zagrożony niewystarczalnością.

Wprawdzie niewystarczające budżety istniały zawsze, lecz chodzi o to, aby było ich jaknajmniej, a my, od kilku miesięcy, stoimy pod grozą niewystarczalności, znajdując słabe środki zaradcze.

Nie wiem wprawdzie, jaki jest rezultat odżywiania rodziny zredukowanego urzędnika, gdzie na osobę wychodzi niecałe 45 grosze (500 groszy : 7), ale znam inne rezultaty, oto parę przykładów:

Młody człowiek, pomimo matury, otrzymał posadę, wystarczającą tylko na zjedzenie obiadu co drugi dzień, kiedy miał dyżur nocny; wkońcu lekarze zalecili mu sanatorium. Pewna pracująca pani mieszkała w wilgotnym pokoiku na 5-em piętrze za 40 zł.; nabawiła się reumatyzmu, tak, że z trudem chodzi. Matka 7-ga dzieci, poważnie zagrożona suchotami, nie ma za co się leczyć, i t. p.

Takich przykładów i rezultatów jest dużo: organizm, nie otrzymujący swego minimum, przeciwstawia się sile woli ludzkiej. I nikt się nie skarży, każdy chce pokryć swoją biedę dobrym humorem, bo ambicja nie pozwala na wzbudzenie litości. A jak ci ludzie czują się istotnie?

Myli się autorka artykułu „Jeszcze jeden budżet“, że ludzie, nie mający na najpierwsze potrzeby, czują się dobrze, jak również myli się, że ktoś „poprostu wstydy się wypowiedzieć; przecież to uczucie zupełnie polskie“.

Jestem polką i nie wstydzę się wypowiedzieć, że, parę lat temu, po przyjeździe do stolicy, mieszkałam „kątem“ w stołowym pokoju, gdzie nie mogłam się położyć przed północą i jadłam obiady bardzo tanie, po których leczyłam się przeszło rok.

Jak mogłam się czuć, niewypoczęta, chora, z pustką w kieszeni, idąc do pracy, niedającej mi utrzymania?

Otóż czułam się źle, bardzo źle, lecz nie skarżyłam się nikomu; śmiałam się więcej, niż zwykle.

I dlatego mnie uśmiech osób, skazanych na niedostatek, nie oszuka.

Tym, którzy wierzą w „cudowne budżety“, radzę żyć, choć pół roku, za 45 grosze dziennie i wtedy, na podstawie własnego doświadczenia, wydać sąd.

Czy ktokolwiek mógłby uwierzyć, aby ojciec rodziny w przytoczonych warunkach wegetował z „zadowoleniem“?

Wegetacja wywołuje apatię, zabija inicjatywę, najważniejszy czynnik dobrobytu.

I jeszcze jedna polska choroba: „malkontenci rodzą się, jak grzyby po deszczu“.

Istotnie, malkontenci byli zawsze.

W majątku moich rodziców dzierżawca młyna, ojciec 8-ga dzieci, stworzył swej rodzinie byt lepszy, niż zredukowany, a nawet niezredukowany urzędnik; jednak nie chcieli wegetować: wyemigrowali do Ameryki, gdzie mają własne domy, auta; młodzi pokończyli wyższe zakłady naukowe.

Nieszkodliwi malkontenci: wzamian za wymagania, dali swą pracę i zdolności.

Sądzę jednak, że jest to „choroba“ nietylko polska, ale międzynarodowa.

Dziś warunki się zmieniły. Chcemy, czy nie chcemy, musimy się do nich zastosować.

Kryzys gospodarczy coraz bardziej utrudnia i ścieśnia życie całych rodzin i jednostek.

Wszyscy zgadzamy się na jedno: należy przeciwdziałać i zabezpieczać się, w jakim stopniu kto może (tylko nie przez zamianę złotego na dolary i umieszczenie w bankach zagranicznych!), aby przetrwać i powrócić do normalnego rozwoju jednostki i społeczeństwa, gdzie nie będzie budżetów głodowych i bezrobotnych.

Urzędniczka — Warszawa.

Do kogo się zwrócić?

Jeżeli *sprawiedliwość* nietylko lingwistycznie ma coś wspólnego z *prawem*, toć przecie musi być na całym świecie jednomyślny nakaz prawny, zobowiązujący ojca do żywienia dzieci, nie pozostawiając troski o to jedynie żonie swojej a ich matce, zwłaszcza, gdy to jest dla niej naprawdę ponad siły.

Spotkałam właśnie życiową tragedję kobiecej krzywdy i, sama nie znając odnośnych praw międzynarodowych, postanowiłam zwrócić się o radę do łaskawych współczelniczek „Bluszczu“.

Jest tak: bezrolny ojciec rodziny (troje dzieci: 8—5 lat) wyjechał przed niespełna trzema laty do Francji. Zarabia sporo w fabryce sztucznych nawozów, gdzie pracuje stale. Przez pierwsze lata przysyłał pieniądze dla żony i dzieci, ale od roku już pisze bardzo rzadko, a nie przysyła nic. Żona, kobieta prosta, z tych, co to poza pięcioma palcami nic nie posiadają, z rozpaczycy porzuciła dzieci u biednej również rodziny i poszła na służbę. Zarabia 55 złotych, co oczywiście nie może wystarczyć na utrzymanie trojga dzieci i ubranie matki.

Czy niema sposobu (i to niekosztownego!) zmuszenia nieuczciwego ojca do przyjścia z pomocą własnym dzieciom? Może która z pań kompetentnych zechce, w myśl solidarności kobiecej i macierzyńskiej, chociaż powiedzieć, czy koniecznie tak być musi. Czy na to niema rady? M. B. z Lubelskiego.

Poradźcie!

Niniejszem zwracam się z uprzejmą prośbą do Szan. Pań, Czytelniczek „Bluszczu“, o wskazanie odpowiedniego zakładu wychowawczego na poziomie szkół średnich, względnie ogólnokształcących, w którym możnaby umieścić dziewczynkę 12-letnią, pół-sierotę, posiadającą promocję do II-jej kl. gimn. Ojciec dziecka nie jest, z powodu skrajnej nędzy, w możności nietylko dać mu należytego wychowania, lecz nawet utrzymania. Oplata za opiekę i naukę nie może przekraczać zł. 70 miesięcznie (ponosiłaby ją rodzina). A może która z Szan. Pań mogłaby służyć inną radą, jakby należało pokierować dziewczynką, aby jaknajprędzej dać jej możliwość zarobkowania? Za zajęcie się tą sprawą zgóry gorąco dziękuję i proszę kierować odpowiedzi do Redakcji „Bluszczu“ dla Zetwu, Katowice. Z. W.

UMIEJĘTNOŚĆ UŻYWANIA TELEFONU

Nie sędzę, żeby panie spodziewały się po mnie, iż będę je wtajemniczała w arkana obchodzenia się z delikatną maszyną nowo pozakładanych automatów. Nie miałabym w tym względzie nic do powiedzenia po za tem, że szczypią w palce i, jeśli nie dociągnąć cyfry do końca, mylą się, jak najprawdziwsza telefonistka. To niewiele — prawda? Po za tem mam jednak bardzo dużo do powiedzenia o telefonach. I o ludziach także.

Bo w każdym człowieku siedzi przeklęte jakieś lichy, które każe mu rzecz, pocztą ku pożytkowi, obracać ku szkodzie, z przyjemności robić przykrość. Tak też i z telefonami: wymyślono je poto przedewszystkiem, żeby oszczędzić ludziom czasu, a one powodują tyle marnowania tego drogocennego materiału.

I poto także instalowali ludzie telefony, żeby sobie zapewnić spokój, pewność, że ważna wiadomość doszła do uszu adresata. Żeby się nie dręczyć wyczekiwaniem odpowiedzi, żeby ją odbierać odrazu. O ironjo! Ileż niepokoju wnoszą w życie dnia powszedniego owe niewinne aparaciki, ku uszczęśliwieniu ludzkości wykombinowane!

Najsłodszy sen ostatniej, rannej godziny, smakowity wypoczynek obiadu, nić przyjacielskiej pogawędki, rozwijany pogodnie wątek pracy — brutalnie rozdierają, gmatwają i mącą ostre, zgrzytliwe dzwonki.

Brrrrr! Grrrrr! Drrrrr! — natrętne, nieustępliwe, nachalne!

Wszystko się przerywa — z zapomnianą w rękę serwetą pędzi się z jadalni do przedpokoju, czy gabinetu, gdzie się mieści aparat.

— Co? Kto?

Nikt. Poprostu — omyłka. Nieznośne to, ale trudno! Wina, oczywiście, nieczyja.

Czyż doprawdy nieczyja? Gdyby się wymawiało numery z precyzyjną, pedantyczną dokładnością, a nie nerwowo, nonszalancko i niedbale, jak to się zazwyczaj czyni, mniej byłoby podobnych omyłek, mących cudzy spokój.

Mniejsza zresztą o omyłki—to produkt uboczny, nie stanowią one istoty złego.

Zło — zło samo w sobie, zło najzłejsze, jeżeli się tak wyrazić można — stanowi zwyczaj telefonowania ot, tak sobie, bez widocznej potrzeby, pour passer le temps.

Pani Lala, czy Lila, otulona uroczą pyjamą, sadowi się w wygodnym fotelu, lub rozkłada na zarzucanym poduszkami tapczanie i sięga wypieszczoną dłonią po podręczny aparat.

— Do kogoby tu?... Może do Iksowiczów? U nich teraz pora obiadowa, bo oboje wracają późno z zajęcia. Będą więc napewno w domu.



— Hallo, to pani Marta? Dzień dobry pani! tak, to ja. Poznała mnie pani po głosie? Czy mam jaki interes do męża pani? Nie, broń Boże! Skądżebym miała interes do tego kochanego mecenasa? Przecież się nie rozwodzę, Bogu dzięki. Nie, tak poprostu czuję się trochę niezdrowa, więc się położyłam i zdecydowałam, że najmilszem spędzeniem czasu będzie pogawędka z kochaną panią. No i co u państwa słyhać? Że co? Może później! Teraz musi pani skończyć obiad? Wie pani, że to trochę dziwne. Przed trzema dniami telefonowałam o szóstej, to pani mnie również przeprosiła, mówiąc, że mąż przyjmuje klientów. A wczoraj o dwunastej służąca odpowiedziała mi, że pani jest co dzień do trzeciej w biurze. Więc, ostatecznie, kiedy można do państwa telefonować?

Pani Lala, czy Lila odkłada słuchawkę na widelki i jest srodze zawiedziona, rozgoryczona i oburzona.

— Co za ludzie!

I nie przejdzie jej przez myśl, że naprawdę najlepiejby było *wcale* nie telefonować do ludzi zajętych, o ile się im nie ma nic do powiedzenia.

Istnieje zresztą i kategoria ludzi zajętych, którzy, mimo że, własną biedą nauczeni, umieją cenić czas swój i cudzy — ani rusz nie potrafią załatwić sprawy telefonicznie bez półgodzinnej rozmowy.

Chodzi o zaproszenie kogoś na bridge'a, poinformowanie o jakimś wydarzeniu, lub przeciwnie, o zasięgnięciu informacji. Moznaby to zrobić całkiem poprostu:

— Dzień dobry. Czy państwo będą mogli być u nas na bridge'u we czwartek o ósmej? Owszem? Bardzo się cieszę i czekam. Dowidzenia.

Albo też:

— Niezmiernie żałuję, że państwo już zajęci. Tamto odłożyć się nie da? No, to bardzo mi przykro. Powetujemy sobie innym razem. Do widzenia.

Informacji udzielić krótko, rzeczowo:

— Proszono mnie o zakomunikowanie państwu, że pani Igrekowska jest przejazdem w Warszawie i ma być u państwa o szóstej.

Prosząc o informację, należy przeprosić, że się zabiera komuś czas w sprawie własnej, nie rozwodząc się jednak nad tem zbyt długo.

— Przepraszam, że panią trudzę, ale pani jest, niestety, jedyną osobą, posiadającą adres Zetowiczów. Czy zechce mi go pani udzielić?

Potem podziękować i po krzyku. Takie telefony, jakkolwiek również wdzierają się hałaśliwie w cudze życie — nie denerwują, bo sprawiają tylko ból konieczny, nieunikniony; są, jak pewne dotknięcie dobrego dentysty: jeśli nawet podrażni nerw, znosi się to z rezygnacją, ze świadomością, że już inaczej doprawdy być nie może.

Niestety, bardzo wielu ludzi sądzi, że chociaż podobne załatwienie sprawy przez telefon byłoby niewątpliwie obustronnie przyjemne, ale nie byłoby grzeczne, byłoby mało uprzejme, szorstkie. Żeby być grzecznym, według zdania tych nieszczęsnych, należy przede wszystkim dowiedzieć się: „co słyhać u kochanych państwa?”. Poinformować się szczegółowo co do stanu zdrowia wszystkich członków rodziny, bliższych i dalszych. Potem udzielić równie wyczerpujących i ciekawych wiadomości o sobie i rodzinie (mąż jeszcze trochę kwęka po grypie, Franio ma katar, ale ucieka na ślizgawkę); można jeszcze zapytać, czy kochani państwo byli na ostatniej premierze, na „balu kołowych”, bardzo podobno wytwornym, i jakie mają projekty na lato. Wyluszczyć swoje. A dopiero kiedy delikwent, przykuty do słuchawki na zielonym sznurze, dostanie mdłości z nudów, kiedy z bezsilnej irytacji popłacze wszystkie personalja i odpowie, że mąż jest cokolwiek stremowany perspektywą bliskiego zamążpójścia, a córka zasiedziała się z kolegami w nocnej knajpie i cierpi na straszliwy ból głowy — wtedy można powiedzieć:

— No, to już nie będę kochanej pani zatrzymywała. Aha, i jeszcze jedno: czy nie wybraliby się państwo do nas na bridge'a we czwartek?

Tak jest dopiero grzecznie, światowo, wytwornie i niech to jasna chol... Przepraszam, cokolwiek się zagalopowałam.

Tak zwykli nadużywać telefonu ludzie znajomi. A teraz — nieznamymi.

Ci napastują zazwyczaj ludzi, z jakichkolwiek względów znanych, popularnych. Najczęściej literatów i dziennikarzy.

Ucina sobie taki sławny człowiek zasłużoną, poobiednią drzemkę. Drrrrr... Telefon.

— Czy mogę mówić z panem Znakomitowskim? Mówi Iksiewicz. Sprawa osobista.

— Hm, nawet zdrzemnąć się człowiekowi nie dadzą! Nie przypominam sobie żadnego Iksiewicza, pewnie się Marysia przesłyszała. Hallo, kto mówi?

— Iksiewicz. Pan szanowny mnie nie zna, ale ja szanownego pana znam. Któżby nie znał?! Jestem czytelnikiem i, że się tak wyrażę, wielbicielem, zapalonym wielbicielem.

— Hm, słucham.

— Otóż ja do szanownego pana z maleńką prośbą. W jednym ze swoich ostatnich, poczytnych artykułów wspominał pan o jakichś tartakach, które pan podobno zwiedzał. Więc ja chciałbym przy sposobności dowiedzieć się dokładnego adresu, no i wa-

runków sprzedaży i dostawy drzewa, oraz czy nie wakuje tam jaka posada dla rutynowanego fach...

Trzask rzuconej z pasją słuchawki ucina resztę wynurzeń. Dalsze gromy spadają na głowę Bogu ducha winnej Marysi.

— A mówiłem, psia krew, żeby pytać, kto mówi! Jeżeli jeszcze raz coś podobnego, przepędzę na cztery wiatry! Nogi, ręce pouryvam!...

Iksiewicz opowiada wszem wobec i każdemu z osobna, że Znakomitowski, piszący takie wzruszające artykuły o nędzy ludzkiej — to w życiu gbur i człek nad wyraz nieużyty. Nie mógł załatwić nawet takiej bagatelki...

A na deser zarezerwowałam dla państwa rodzinę: telefony anonimowe. Proszę mi tylko nie mówić, że przecież żaden człowiek kulturalny podobnym obrzydliwstwem się nie splami. Aha, plamią się i jak jeszcze, właśnie tacy, co się za luminarzy uważają. Niekoniecznie w celach niskich, ale ot tak, dla zabawy. Nawet się przyznają do tych niewinnych igraszek. Nie mieli nic do roboty, bridge się skończył, gramofon się zepsuł, na spanie było za wcześnie (dopiero trzecia nad ranem), więc wzięto książkę telefoniczną i dzwoniło tu i tam. Nic dowcipnego wykombinować się napoczekaniu nie udało. Ale zawsze się ludzi pobudziło. Dobre i to.

Albo znowu piękna pani Lala, czy Lila, telefonuje do znanego sobie, tylko z nazwiska i opowiadań przyjaciółek, Zetowicza i to w godzinach biurowych (w domu jest zazdrosna żona). Intryguje go (albo i nie intryguje) opowiadaniem sensacyjnych (podobno) szczegółów z erotycznej przeszłości, czy teraźniejszości tego pana i z zupełną pewnością przeszkadza mu w pracy.

Najchętniej zakłaby szpetnie i zwymyślał babę od ostatnich. Ale nie śmie. Bo, kto wie... może to być nawet żona jego zwierznika. Nigdy nie wiadomo.

Więc co? Jaka na to rada? Jak bronić własnego spokoju? Wylączyć telefon? Ale właśnie byłby niepokój, bo a nuż mianowicie o tej porze będzie jakaś sprawa istotnie ważna, związana z pracą, interesami, życiem?...

A możeby tak zacząć używać telefonu w sposób właściwy?

Jadwiga Kiemnarska.

Tydzień pobytu nad morzem w celach propagandowych.

Propagandowe wycieczki nadmorskie Koła Akademickiego Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego wzbudziły duże zainteresowanie w najszerszych kołach społeczeństwa i zyskały poparcie Gdyńskiego Związku Propagandy Turystycznej. Liczne listy b. uczestników wycieczek są odzwierciedleniem potrzeby organizowania takich wycieczek nadmorskich. Fakty te skłoniły Prezydjum Koła do kontynuowania pracy propagandowej w zakresie zagadnień morskich, zapomocą wycieczek, z których najbliższa wyjeżdża z Warszawy w sobotę. Koszty wycieczki wynoszą nadal tylko 68 zł. (koszt przejazdu, mieszkanie w okresie dni 8-miu i wycieczki morskie i miejscowe). Informacje w sekretarjacie Koła, Aleje Jerozolimskie 55. Tel. 505-65, godziny 17 — 20.

SUBLOKATORKA

Grzymały-Siedleckiego?

Nie. Taka sobie, nie z wyobraźni literackiej na szczytach Parnasu, a na ścieżce szarego życia powszedniego poczęta. Istota, jakich wiele. Przeciętna: Stara, średnia, czy młoda; brzydka, czy urodziwa; gorzej, czy lepiej uposażona, a zawsze przeważnie ofiara losu i mniej, lub więcej przez los upośledzona.

Sublokatorka rzadko kiedy gra pierwsze skrzypce w symfonii życia domowego.

Punktualnie, czy niepunktualnie, ale zawsze słono płaci za skrawek dachu, pod którym składa swą bezdomną głowę do snu, co nieraz staje się koszmarem.

Sublokatorka ma jedną zasadniczą wadę: byłaby dopiero wtedy istotą idealną, gdyby zjawiała się tylko pierwszego każdego miesiąca poto, żeby uregulować rachunek, a potem bezpośrednio, w czapkę-niewidkę strojna, powinnyby się usunąć z drogi tych, których nie stać na samoistne płacenie wysokiego czynszu mieszkaniowego.

Spotykać ją w drzwiach łazienki, w przedpokoju, a, nie daj Boże! jeszcze w kuchni, skąd niesie sobie *objęta umorą* szklankę herbaty — to prawdziwy dopust Boży!

Bo też człowiek u siebie w domu nie może się ruszyć, żeby nie wejść na kogoś obcego! A *ktoś obcy*, znosząc kuferki do świeżo wynajętego pokoju, roi sobie poprawę bytu doczesnego.

Pomimo najszerszych chęci, na starym mieszkaniu nie można było zamknąć życia w ramach znośnych.

Pachniało przydymionym tłuszczem; do wygód trzeba było przechodzić przez pokój jadalny, stale i licznie zaludniony; higjena ciała — zredukowana bańka od mleka, z rdzą zasnutymi ranami, wypełniona letnią wodą — była pierwszym uśmiechem rannym, jak za niezmiennie podsumowanie rubryki każdego dnia nauczono sublokatorkę uważać szklankę herbaty na spodku-jeziorku, w garści, przez Marysię, czy Kasię podaną. Wprawdzie skład nieużytków, przebiegle za sublokatorską szafą umieszczony: podwójne okna, uszkodzone ramy od obrazów, kij od dawno zużytej szczotki, składane krzeselko, czy leżak usunięty z balkonu — wyeksmitowało się grzecznie, ale kategorycznie w pierwszym dniu objęcia nowego locum, ale została kulawa etażerka z odstającym fornierem, trędowata lampka przy łóżku, otulona kocieteryjnie w kawalek barwnej bibułki; wypłowywałym utrechtem kryta kanapa (miękkki mebel, podnoszący cenę pokoju); dwa krzesła — każde z innego dworu; szafa o niedomykających się drzwiach i kurzem zasnutych „rzeźbach“; blaszana umywalka, kiedyś, za lepszych czasów, biała polakierowana, a dzisiaj brudna i dziurawa.

Na ścianach pamiątki rodzinne: portret przed laty zmarłego pana domu, albo kogoś z krewnych, czy znajomych, co dawno już odeszli w zaświaty i zatarli się w pamięci rodziny — obowiązkowo powiększony z fotografii; premje pism ilustrowanych, w tuzinkowe ramy oprawne — cichy schron dla towarzyszek niedoli, pluskiew, które nocą na upatrzony żer wychodzą; wydeptany dywanik i prawie że obowiązkowy parawan bambusowy, lub koszykowy, obciążony wypłowywałą satyną.

Złot tuzinkowej tandety, której żaden już z domowników używać bez obrzydzenia nie może; rachityczne aspidistry na oknie i firanka, upięta kocieteryjnie, ze specjalnym talentem ukrywania dziur.

Jakoś się tam to wszystko kobiecym genjuszem

zatuszowało, upiększyło, przybrało. Postronny widz ma nawet wrażenie, że w gniazdku tem jest zacisznie i miło; ale nie wie ten ptak przelotny, ile za progiem *gniazdka* legło zastrzeżeń, ile odsądzenia od prostej, codziennej wygody, a w najlepszym razie — ile chłodu i na dolę-niedolę sublokatorską obojętności.

Jeżeli jest *ciepło*, to przeważnie płaci się za to przyłączeniem do rodziny. Serdecznie usposobieni państwo domu zabierają w miarę potrzeby kilimek, czy dywanik, zamieniają lampkę na inną, bo tamta była pani, panu, czy panience potrzebna. Ta druga jest zawsze gorsza i jeszcze bardziej od pierwszej trędowata. W czasie naszej nieobecności ktoś upodobał sobie książkę, odłożoną w najciekawszym miejscu, czy numer pisma ilustrowanego, co wraca wprawdzie do prawowitej właścicielki, ale w zbrukanym szacie. A bywa i tak, że drobiazgi w szufladce, czy pudełku, list, pozostawiony na stole, budzą ciekawość domowników.

Bo do pokoju sublokatorki wstęp nie jest wzbroniony. To jest właściwie zawsze pokój *nie jej*, a pokój prawowitego właściciela mieszkania. Już dosyć, jeżeli wchodzi się do niej (gdy jest w domu) z *pukaniem*.

Jeszcze pół biedy, jeśli anioł opiekuńczy domowego ogniska — pomocnica pani domu — ma promienne oblicze. Przyjazne nastawienie nawet za sakramentalne 10 zł., dopłacane miesięcznie *poza* obsługą, objętą ustalonym czynszem, nie jest bowiem przejawem codziennym.

Zdarza się i taka Józia, którą dzwonek denerwuje, a godziny biurowe sublokatorki lekceważy z iście kobiecym uporem. Punktualnie podana woda do mycia (ileż razy z tłustą powłoką!) i ranna herbata — to wymagania, na które odpowiada się wzruszeniem ramion, lub trzaśnięciem drzwiami z niewysłowioną pogardą.

O tem, co robi, myśli i czuje, kiedy wraca i kogo przyjmuje sublokatorka — wie każdy z domowników i każdy ma do tego prawo.

Trudno! Jeżeli się nie ma *swojego domu*, trzeba podlegać specjalnemu kodeksowi o ściśle zakreślonych ramach.

Wynajęty pokój i to w dodatku z meblami — to nie dom, nie cicha przystań bezpieczna i spokojna: to nocleg dla bezdomnych, użyczany najchętniej osobom, pracującym poza domem.

Coprawda, że i na tej ciernistej drodze trafiają się oazy. Bywa i kulturalnie, i wygodnie, i po ludzku. Ale to są wyjątki!

Przeciętny pokój do wynajęcia z krępującem, czy niekrępującem wejściem, z krępującymi, czy niekrępującymi wygodami — to zwyczajny straszak. Nie wiadomo, jak w nim będzie, ale już na pierwszy rzut oka wiadomo, jaki jest. A jest naogół niżej krytyki.

Dla uzdrowienia tych nienormalnych i wysoce nielojalnych stosunków trzeba nie zmiany rozkładu mieszkań i zburzenia rozpaczliwej miernoty, jaką przedstawiają stare domy. Tego nic zmienić nie zdoła. Trzeba rzeczy prostej, a tak bardzo trudnej do wykonania w praktyce: zmiany ustosunkowania odnajmującego do podnajmującego, wspólnego poszanowania praw i wspólnego poczuwania się do wzajemnych obowiązków. Trzeba lojalnej równowagi.

Bo jeżeli wszystko to, co składa się na odnajęty pokój: materialna i moralna jego atmosfera — bywa najczęściej dopustem Bożym, to część winy spada i na podnajmującego.

Coś tam tkwi w tej sprawie na dnie, że, jak twierdzą właściciele zbyt obszernych, lub za drogiej w stosunku do ich budżetu mieszkań, muszą zdecydować

się wkońcu na to *najgorsze*: na wpuszczenie do domu *obcego człowieka*.

W dzisiejszych ciężkich warunkach wypłacalny sublokator przestanie być szarakiem: będzie królewskim gronostajem. Podniesie głowę do góry, nauczy się, siłą rzeczy, znać swoje prawa i mieć wymagania.

Jest to może jedyna dobra strona kryzysu ekonomicznego, że kasta panująca będzie musiała się nauczyć szanować poddanych.

Na każdej drodze pierwszy krok najdrożej kosztuje, a że siła przyzwyczajania staje się drugą naturą, więc może wreszcie Warszawa tą właśnie siłą przyzwyczajania i koniecznością przywróci do praw ciemiężoną tak długo kastę sublokatorów, a l'éternel féminin — przysłowiowa kobiecość — która potrafi mieć tak małostkowe i brzydkie oblicze, odzyska urok i wdzięk nawet w stosunku do sublokatorów, bo wszak paniami doli i niedoli tych, których los skazał na bezdomność, są jedynie i wyłącznie właśnie panie domu!

U progu nowego roku mozolnej pracy, na szlaku powrotu do gniazd i organizowania życia nanowo — kwestja ta zasługuje na przemyślenie.

Wanda Dobrzańska

CO NAM DAŁ NASZ OGRÓDEK

Od 1 sierpnia roku zeszłego mieszkamy w Ostrołęce — przed oknami mamy mały ogródek (75 m²), w którym zastaliśmy parę nędznych krzaków onętki (cosmea), parę nagietków, a pod płotem mały zagonek strasznie drobnych buraczków.

Aż przykro było wyrzeć przez okno — śmiecie, ta odrobina nikłych roślin, chwasty i goły, suchy piasek. Gospodarze nasi dowodzili, że tu się nic nie rodzi, że wszystko wysycha, że niewarto uprawiać tego kawałka.

Gleba — głęboki piach — taki prawie lotny. Na wiosnę wiatry prznosiły go z miejsca na miejsce, jeszcze bardziej pesymistycznie nastrojając nas i jakby odstraszając od zakładania ogródka.

Ponieważ na wiosnę mieliśmy opuścić Ostrołękę, więc na jesieni wcale nie przygotowaliśmy ziemi do zimowego spoczynku. Ogródek tak zimował, jak go

zastaliśmy. Dopiero w ostatnich dniach kwietnia zdecydowane zostało, że spędzimy tu jeszcze lato, więc zabraliśmy się do roboty. Mąż mój własnoręcznie przywiózł 7 taczek obornika, który zkolei rozrzuciłam równo na całej przestrzeni, poczem, zmieniając się, przekopaliśmy całą przestrzeń i zaraz równo zagrabililiśmy.

Na drugi dzień podzieliśmy (jak to widać na załączonym planiku) całą przestrzeń na ogródek warzywny (zagonki od 1 — 5) i kwiatowy. Po odpowiednim rozplanowaniu zagonków i klombów rozsypaliśmy nawozy sztuczne: 3 kg. superfosfatu i 5 kg. soli potasowej kałuskiej, a także wiaderko popiołu drzewnego (palimy w kuchni drzewem), poczem zagrabililiśmy i wykończyliśmy ostatecznie zagonki.

Nawożenie bardzo intensywne, to prawda, w uprawie na dużą skalę zupełnie niewytrzymałe rachunku; jednak tu u nas, w naszym ogródku, okazało się nie tylko opłacalne, ale przyniosło nam nawet duże zyski w postaci doborowych warzyw i ślicznie rosnących kwiatów.

Saletrę dawaliśmy pogłównie po wejściu naszych roślin, w odstępach mniej więcej dwutygodniowych. Saletry wyszło 1½ kg.

Jak już wspominałam, gleba naszego ogródka — to szczerzy piach, to też wody, wody i jeszcze raz wody mąż mój wylał moc. Wystarczy chyba, gdy powiem, że do 25-go lipca zużył na ogródek przeszło 1000 wiaderek wody.

Wszystka woda od mycia (oprócz tłustej od naczyń) i płókania bielizny szła na nasz ogródek — przed skopaniem nawet woda od prania. Przed zasianiem trawy musieliśmy najpierw całą przestrzeń dobrze zlać wodą, ziemię przerobić rękami — po siebie znów zlać porządnie. To samo z każdym zagonkiem i klombikiem.

Gospodarze i sąsiedzi patrzyli na naszą pracę z politowaniem, uprzedzając nas, że daremnie się trudzimy, bo tu nawet „ziemiaki rodzić się nie chciały“. A jednak, nie zrażeni temi zapowiedziami, my oboje, stęsknieni do kawałka ziemi, fachowcy (mąż rolnikodowiadczy, ja ogrodniczka-warzywniczka), każdą wolną chwilę oddawaliśmy temu kawałeczkowi ziemi, dzieląc pracę naszą w ten sposób, że mąż podlewał — ja sadziłam, siałam i pełam ogródek.

I okazało się, że nasza praca i wiara w ziemię nas nie zawiodły. Dziś mogę już podzielić się z czytelnikami „Bluszczu“ rezultatami naszej pracy, które, zdaje się, dostatecznie przemówią za siebie.

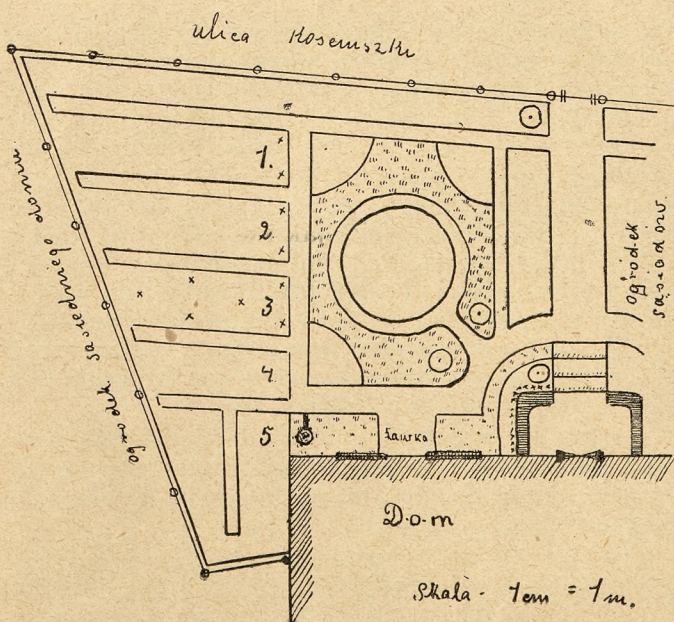
A więc pokolei opiszę, co mamy w ogródku.

OGRÓDEK WARZYWNY (52.5 m²).

Zagonek Nr. 1. Na zagonku tym mamy kabaczki posadzone (17/V) wprost do gruntu — w 3 gniazda po 3 rośliny. Przed posadzeniem zagonek ten był zasilony powtórna dawką przetrawionego obornika (4 wiadra).

W miejscach, oznaczonych krzyżykami, rosną 2 krzaki pomidorów, prowadzonych na 1 pęd. Jednocześnie z siewem kabaczków posiałam wzdłuż boków zagonka po 2 rzędy rzodkiewki „różowej z białym końcem“, a między kupkami kabaczków posadziłam po 6 krzaczków sałaty. W połowie czerwca zeszła rzodkiewka, sałata zaś w pierwszych dniach lipca. Obecnie na zagonku, jako plon główny, pozostały kabaczki, które pokryły całą powierzchnię, i 2 krzaki pomidorów.

Zagonek Nr. 2. Początkowo mniej więcej trzecią część od strony ogródka kwiatowego obsiałam sałata, siejąc ją w 6 rzędów i traktując, jako rozsa-



dę. Rzutem posiałam na całym zagonku koperek. Sałata weszła bardzo dobrze, rosła prędko, więc częściowo zużyliśmy ją, jako „sałatę listkową”. Sami jedliśmy 7 razy, 3 razy dawałam sąsiadce (2 osoby) i 2 razy gospodyni (2 osoby).

12/V posadziłam fasolę szparagową tyczkową w 4 rzędy — po 2 ziarenka w gniazdo. Na zagonku wypadło mi 44 gniazda. Gdy roślinki już potrzebowały podpór, daliśmy im tyczki (22), kierując po 2 gniazda, a więc po 4 rośliny na tyczkę. Zagonek naokoło obsadziłam sałatą co 30 cm., co dało nam 34 główki.

W punktach, oznaczonych krzyżykami, posadziliśmy 2 krzaki pomidorów, prowadzonych na 1 pęd.

Zagonek Nr. 3. Na zagonku tym posiałam buraczki ćwikłowe w 4 rzędy, rzutem—koperek. Buraczki weszły b. dobrze, rosły zdrowo, tak że po 15-ym maja można je było przerywać na boćwinę. Koło 18/V posadziłam na tym zagonku w miejscach, oznaczonych krzyżykami, 6 krzaków pomidorów. Prowadzę je na 2 pędy tak, że na każdym krzaku jest obecnie od 5—8 gron, po 8—14 owoców w każdym gronie. Odmiany określić trudno, bo są to fance, kupowane na tutejszym rynku. 5 krzaków z pokroju i kształtu owoców, oraz ich układu w gronie, zdają się być odmianą „Lukullus”.

Wokoło zagonek obsadziłam sałatą co 30 cm., co dało nam 32 główki.

Zagonek Nr. 4. Jest to najmniejszy zagonek w całym ogródku warzywnym, bo ma zaledwie niecałe 3 m². Początkowo obsieliśmy go rzodkiewką, dając jej 5 rzędów: 2 rzędy białej „Sopel lodowy” i 3 rzędy „różowej z białym końcem”. Pomiędzy rzodkiewką, plus minus co 15 cm., posadziłam cebulę z dymki. Gdy rzodkiewka wyszła, posadziłam 4 rzędy sałaty, co 30 cm. w rzędzie krzak od krzaka.

Nim sałata się rozrosła, weszła cebula, którą zjedliśmy częściowo, jako „młodą cebulkę”; częściowo jako przyprawę do potraw. Sałaty było 48 główek. Gdy sałata zejdzie zupełnie, cały zagonek obsięję koperkiem, by mieć tę smaczną przyprawę do końca lata, a także nasolić trochę na zimę.

Zagonek Nr. 5. Zagonek ten obsiałam szpinakiem zwykłym. Ponieważ posiany był, jak na szpinak, późno, bo dopiero na początku maja, zaczęliśmy go brać do konsumpcji dopiero po 20-ym maja. Wtedy posiałam na tymże zagonku „szpinak nowozelandzki”, rozmieszczając gniazda pomiędzy rzędami szpinaku zwykłego. Gdy pierwszy zeszedł (około 20 czerwca), pozostał na zagonku szpinak sznurowy, którego mamy 14 gniazd, po 3 rośliny w każdym. Jarzyna przeznaczona jest na sierpień i później, aż do mrozów.

Wzdłuż płotu od domu sąsiedniego posadziliśmy co 30 cm. bulwę, która na ziemi tej rośnie doskonale. Obecnie służy nam, jako żywopłot, zasłaniający całe podwórko; późną jesienią po przymrozkach i wczesną wiosną da nam wyborną jarzynę.

(d. c. n.)

Zofja Wróblewska.

G R Z Y B Y

Aby urozmaicić jadłospis smacznymi i wartościowymi potrawami, trzeba zapoznać się dokładnie z użytecznością grzybów jadalnych i przygotować odpowiednie ich zapasy na zimę.

Najsmaczniejsze i najbardziej cenione grzyby — to borowiki i rydze; mniej cenne — maślaki, kurki, gąski. Sterylizując, trzymać się tej zasady, by konserwować grzyby dobrze znane, świeże, młode, pewne co do gatunku. Grzyby starsze, wodniste, nieświeże, nadpsute — nie nadają się do sterylizacji.

Do sterylizacji wybrać grzyby jędrne, twarde; skórki ciemne, oślizgłe zdjąć (jak np. z maślaków). Oczyszczyć nożem części powalane ziemią, oddzielić główki (czapeczki) od korzonków. Obmyć szybko, każde z osobna, nie gnieść; krajać na plasterki, lub kawalki. Aby grzyby nie szerniały, pokrajane wrzucić w zimną wodę z odrobiną kwasu cytrynowego. Grzybów, przeznaczonych do sterylizacji, nie krajać zbyt drobno, by w konserwowaniu się nie rozdzielały i nie rozpadały. Zbyt drobne cząsteczki dostają się w czasie sterylizacji między pierścień gumowy, a pokrywkę, co powoduje niedokładne uszczelnienie, kwaśnienie i psucie całej zawartości. W grzybach źle oczyszczonych, niedokładnie wymytych, mimo sterylizacji i zamknięcia słoja, wytworzyć się może beztlenowiec, kwas masłowy, bardzo szkodliwy dla organizmu. Kwas masłowy powoduje gnicię.

Pokrajane grzyby zagotować bez wody we własnym smaku; po zagotowaniu wybrać je na sito, by ociekły. Przełać zimną wodą. Ostudzone, układać w wydezynfekowane słoje. Zlewać wodą zimną przetworzoną (na litr wody 1 łyżeczka soli), do wody dodać część smaku z grzybów, precedzonego przez płótno. Pamiętać o niedopełnianiu słoja, o wydobyciu na wierzch powietrza, zatrzymanego między cząsteczkami grzybów. Całe, małe czapeczki, przygotowane w ten sposób, jak krajane, sterylizuje się na przyrządzenie w ziemie grzybów, obsmażanych w cieście i do dekoracji potraw.

Grzyby sterylizować z tą samą starannością i troskliwością, jak jarzyny. Jaknajszybciej doprowadzić temperaturę do 100 stopni C. Po osiągnięciu tej temperatury kocioł odsunąć, by woda nie wrzała. Temperaturę 98° C. utrzymywać przez 60 minut dla słoja 1/2 i 3/4 litrowych; dla litrowych — 90 minut. Po 24 godz., 36 godz. sterylizować powtórnie przez 30 minut (100°C — 98°C). Po skończonej sterylizacji, natychmiast wyjąć słoje z garnka, wynieść w miejsce suche, chłodne, wyiębić. Po zupełnym ostudzeniu zdjąć sprężyny, skontrolować, czy słoje są dobrze uszczelnione, wynieść w miejsce zimne, suche, ciemne; najlepiej do piwnicy.

Podając, przyrządzić, jak świeże. Przez dodatek surowej cebuli, podprawienie witaminowe kwaśną śmietaną (nie zagotowując z grzybami) podnosimy ich wartość. Grzyby pobudzają smak, działają dodatnio na trawienie, wzmagają wydzielanie soków trawiennych. W dawnej polskiej kuchni powodowano się zdrowym instynktem i jadano dużo grzybów.

Rydze, duszone w maśle. Doskonale zachowują się w słoju rydze sterylizowane, duszone, lub smażone w maśle. W braku rydzów — małe, zdrowe, młode maślaczki, obrane ze skórki, smażone w maśle, a wkońcu zasterylizowane, są też przysmakiem.

Przyrządzenie rydzów jest bardzo proste. Oczyszczone rydze sparzyć wrzącą wodą (zabicie drobno-



ustrojów, utrwalenie koloru, usunięcie posmaku surowizny, goryczy), obsączyć, wysuszyć w płótnie i smażyć na maśle; posolić do smaku. Na 1 — 1½ kg rydzów ¼ kg. masła, trochę soli. (Pamiętając o ostatnich badaniach, że masło smażone traci witaminy, a przy silniejszym zasmażeniu rozkłada się i wydziela wolne kwasy tłuszczowe i glicerosubstancje, drażniące przewód pokarmowy, należałoby zerwać z dawnymi przyzwyczajeniami i smażyć rydze na szmalcu).

Po podduszeniu, wlać rydze do wydezynfekowanych słoików. Nie jest konieczne, aby tłuszcz pokrywał rydze. Założyć gumy, pokrywki dać pod sprężyny. Uważać, by woda w garnku była tej samej temperatury, co zawartość w słoju. Doprowadzić szybko do wrzenia, później trzymać słoje przez 1 godz. w temperaturze 98° C. Po dwóch dniach sterylizować powtórnie przy 98° C. przez 30 minut. Podając na stół, nie zagrzewać w słoju, dodać tłuszczu, zasmażyć silnie.

Słynne ekstrakty grzybowe Maggi sprowadzamy z Włoch. Kierując się zasadą samowystarczalności, należałoby w Polsce przerobić umiejętnie wszystkie grzyby jadalne. W okolicach lesistych, w latach, w których jest nadmiar grzybów—można przyrządzić soję z grzybów. Ekstrakt ten podnosi smak wszelkich zup, sosów i wielu potraw.

Soja z grzybów. Do przyrządzenia esencji grzybowej bierze się wszystkie zmięszane grzyby jadalne. Przestrzegać świeżości grzybów. Na soję można brać maślaki, opieńki, gołąbki jadalne, brzoźówki, kurki, gąski i t. d., każdy gatunek osobno, lub też wszystkie razem, nie wyłączając rydzów i pieczarek.

Po oczyszczeniu i wymyciu szatkować cienko i solić (1 łyżka soli na 1 kg. grzybów). Dusić tak długo na wolnym ogniu, aż puszcza z siebie dużo smaku. W czasie duszenia mięszać, by się nie przypaliły. Utworzony smak odcedzić, grzyby zalać raz jeszcze wodą wrzącą, tak, by je przykryła, i wygotowywać przez kwadrans. Scedzić, złączyć obydwie smaki, przelać do szerokiego naczynia, gotować, mięszając, aż się utworzy ciągnący, dość gęsty, brązowy płyn. Esencję wlać do wydezynfekowanych, małych flaszeczek, zakorkować, obwiązać sznurkiem, lub uszczelnić wata i pęcherzem. Sterylizować 20 minut przy 90° C. Po wyjęciu i obeschnięciu korków, zaraz lakować. Używać tak, jak Maggi.

Soja z grzybów na surowo. Młode grzybki (różne) oczyszczone, wypłukane, osączone, wytarte na sucho, ułożyć w kamiennym garnku, posypać solą. Na pół kilo grzybów wziąć 1 cebulę, 4 goździki, trochę cynamonu i gałki muszkatołowej. Po dopełnieniu słoja, przykryć denkiem, przycisnąć kamieniem, wynieść w chłodne miejsce. Po kilku dniach wycisnąć sok, zlać w małe, wyjałowione flaszeczki, zakorkować, zawiązać sznurkiem, sterylizować 30 minut przy 90° C. (do zaprawy sosów i zup).

Rydze kiszane. Rydze kiszane są o wiele zdrowsze, niż marynowane w occie. Kwas mleczny, w połączeniu z innymi wartościami rydzów, zwalcza wszelkie zatrucia organizmu i zmiany chorobowe tkanek, wywołane przez bakterje gnilne. Rydze kiszane stanowią doskonałą potrawę w połączeniu z ziemniakami, lub też z małym dodatkiem mięsa.

Świeżo zebrane, dorodne, nierobaczywe, oczyszczone rydze sparzyć wrzącą wodą. Odląć na sito, przelać zimną wodą (przywrócenie barwy) i układać (tak, jak rosna) w czystej, wyparzonej beczulce, lub w garnku kamiennym, przesypując warstwami soli i pokrajaną w plastry cebulą. Można dodać bobkowych listków i całego pieprzu, nie jest to jednak konieczne.

Po napełnieniu, przykryć kawałkiem płótna, deneczką, przycisnąć kamieniem. Trzymać w temperaturze 15—18° C., póki nie zakisnie. Zakiszone rydze wynieść do piwnicy. Uważać, by płyn przykrywał rydze. Co tydzień wymyć deneczkę i płótno. Zachować wszelkie ostrożności, jak przy kiszoncek. Nie dopuścić, by tworzący się kożuch niszczył kwas mleczny. Nie zostawiać nieprzyściśniętych. Uważać, by płyn był na wierzchu. Brać czystą, drewnianą łyżką. Gdyby rydze były zbyt słone, biorąc do użytku, wymoczyć w zimnej wodzie, pokrajać w paseczki, dodać świeżej, siekanej cebuli, przyprawić octem owocowym, oliwą i cukrem.

Doskonała przekąska z rydzów w oliwie. Wlać do słoja, lub kamiennego garnka na wysokość 2 cm. najlepszej oliwy. Położyć rząd wytartych do sucha, młodych rydzików (tak, jak rosna), korzonki obciąć. Posypać lekko solą. Kłaść rydze warstwami i solić, przetrzącać całym pieprzem. Po napełnieniu słoja dolać oliwy, aby była na wierzchu. Przyłożyć dopasowanym denkiem, lub talerzykiem, przycisnąć kamieniem. Gdy rydze się uleżą, dodać świeżych. Po całkowitem napełnieniu uważać, by ostatnia warstwa była zalana oliwą. Zawiązać papierem pergaminowym, lub pęcherzem, wynieść w suche, chłodne miejsce. Doskonałe do użytku po dwóch tygodniach. Trzymają się bardzo dobrze.

Rydze marynowane w galarecie. Drobne rydzyki opłókać w zimnej wodzie, osączyć włożyć w rondel. Wkrawać dużo cebuli, posolić. Dusić, przykryte, by uniknąć przypalenia, potrząsać rondlem. Gdy rydze będą pokryte sosem i stracą surowiznę, zalać winnym octem, zagotować parę razy. Odstawić, wlać do wydezynfekowanego kamiennego lub szklanego słoja. Gdyby płyn nie przykrywał rydzów, dolać octu, przegotowanego z korzeniami (pieprz, listek bobkowy). Położyć krążek papieru pergaminowego (zmaczany w spirytusie sal.), zalepić, lub zawiązać pęcherzem. Wynieść w suche, chłodne miejsce. Kontrolować od czasu do czasu, by płyn był na wierzchu. Podawać z uformowaną galareta.

Rydze marynowane. Małe, zdrowe rydze oczyścić, odciąć korzonki. Opłókać i osączyć. Wrzucić na wrzący ocet winny, zagotowany z małą cebulką (szalotką), z angielskim zielem, liśćmi bobkowymi i pieprzem. Na wolnym ogniu, przykryte, gotować przez 15 — 20 minut (przykryte rydze nie brunatnieją; barwik karotyn, zawarty w rydzach w zetknięciu z tlenem powietrza traci swą żywą barwę). Wlewać gorące do wydezynfekowanych słoików, uważając, by ocet był na wierzchu. Uszczelnić papierem pergaminowym.

Surowe rydze marynowane. Małe, zdrowe rydzyki, świeżo zerwane, obcierać do sucha ściereczką. Układać w wydezynfekowane słoje, tak, jak rosna, zalać gorącym octem, przegotowanym z solą i korzeniami, przykryć serwetką (płótnem). Następnego dnia ocet zlać, zagotować i raz jeszcze gorącym zalać. Słój obwiązać papierem pergaminowym, lub pęcherzem.

ZOBACZCIE GDYNIĘ I POLSKIE MORZE!

Ośmiodniowe, żniżkowe wycieczki do Gdyni, Jastarni i na Hel.

Korzystajcie z okazji. Ośmiodniowy pobyt nad morzem, czarowne pejzaże, rzeźwiące, morskie, jodem przesycone powietrze—to prawdziwy balsam dla znużonych nerwów.

Koszt wycieczki 68 złotych. Wyjazd w każdą sobotę wieczorem. Zapisy przyjmuje i bliższych informacji udziela sekretariat Koła Akademickiego Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, Aleje Jerolimskie 33, telefon 305-63 w godzinach od 17-ej do 20-ej.

Wynieść w suche, chłodne miejsce. Kontrolować, czy ocet jest na wierzchu. Do octu nie dawać korzeni (pieprzu, angielskiego ziela), bo rydze tracą kolor.

Grzyby marynowane. Młode, jędrne grzyby (najlepiej borowiki) starannie wymyć w zimnej wodzie, osączyć na sicie. Wrzucić do wrzącej wody, gotować 15 minut. Smak scedzić. Grzyby ułożyć w wydezynfekowane słoje i zalać zaraz gorącym, winnym octem, przegotowanym z cebulą i korzeniami. Gotując grzyby, zagotować w osobnym rondlu ocet. Marynowane w ten sposób grzyby są śliczne i konserwują się doskonale. Jak przy wszystkich marynatkach, uważać, by ocet przykrywał grzyby. Korzonki oczyszczone, pokrajane, przygotowane jak do sterylizacji, zakonserwować (zasterylizować) na sosy, budynie, lub ususzyć.

Grzyby marynowane, duszone. Oczyszczone grzyby opłókać, odsączyć, posolić i udusić pod przykryciem (30 minut), aż doskonale puszcza z siebie sok i pokryją się pianą. Odlany smak zachować na zupę. Grzyby, ułożone w wydezynfekowane słoje, zalać gorącym, przegotowanym z korzeniami i cebulą, winnym octem. Uszczelnić, jak zwykle, wynieść w suche, chłodne miejsce.

Malo cenione kurki, gąski, lisice marynowane są bardzo smaczne, jako przekąska, połączenie z sałatami wszelkiego rodzaju, lub też przybranie do zimnych auszpicków, galaret mięsnych, rybnych, majonezów i ostrych sosów. Marynuje się je w ten sposób, że po oczyszczeniu, obgotowaniu 15—20 minut (w dużej ilości wody osolonej), zalać w wydezynfekowanym słoju octem, przegotowanym z korzeniami, cebulą, tak, jak do wszystkich marynat.

Grzyby i rydze w occie trzymają się zawsze doskonale, o ile używa się do nich dobrego, winnego, dość mocnego octu i gdy przyrządza się je starannie. Trzeba do słoja dolewać od czasu do czasu octu, który prędko wyparowuje i wsiąka w grzyby. Warstwa wierzchnia, niezalana octem, psuje się i powoduje rozkład całej zawartości słoika. Aby uniemożliwić dostęp powietrza, można nalać na wierzch trochę oliwy. Niedokładnie uszczelnione marynaty pleśnieją, lub podlegają fermentowi. Ocet chroni je od gnicia, gdyż bakterie gnilne rozwijają się na podłożu alkalicznym.

Grzyby suszone, jak wykazały ostatnie badania, nie tracą zawartych witamin i witasteryn. Przez wyparowanie wody, pomnożenie białka i soli odżywczych zyskują na wartości, są bardziej pożywne. W czapczkach jest więcej składników odżywczych, niż w korzonkach. Badania wykazały, że suszony borowik zawiera w czapczce soli odżywczej 6,22% białka 44,99%; korzonek zaś zawiera 29,87% białka. Zawartość białka jest zależna od gatunku danych grzybów. Do suszenia najbardziej wartościowe są borowiki, maślaki zaś, brzożówki, kozaki są mniej cenne. Trzeba się starać, by w grzybach suszonych jak najlepiej zachować białko. Suszyć można na słońcu, lub w suszarkach. W naszym klimacie żar słońca jesienno jest tak silny, by grzyby, suszone w słońcu, nie zrobacniały.

Do suszenia w piecykach, albo w piecu piekarskim używa się zazwyczaj las drewnianych, lub ram, obitych rzadkiem płótnem (organdyną). System suszarek, stawianych po ugotowaniu obiadu na ciepłej blasze, nadaje się do użytku domowego. W suszarkach tych sita ułożone są na kondygnacjach, jedno ponad drugim. Wmiarę dosuszania, przekładając sita, normuje się temperaturę. Grzyby suszyć bez plókania. Wycierać ściereczką, oczyszczać nożem, oddzielać korzonki od czapczek. Większe korzonki przekra-



RUBINOWE KLEJNOTY lasów i sadów...

572

Poziomki, truskawki,
porzeczek, wiśnie, maliny...

Te skarby lata w słodkim syropie
przechowajcie w spiżarniach, jako
konfitury i soki.

Przypominamy sezon smażenia konfitur, soków, kompotów z truskawek, czereśni, poziomek, róż, agrestu, malin, porzeczek, moreli, wisien i t. p.

wać, mniejsze czapczki suszyć w całości. Początkowa temperatura suszenia nie powinna przekraczać 50 stopni C., by nie wypływał sok z grzybów, białko się ścięło, i by uniknąć zaparzenia. Grzyby suszone w zbyt niskiej temperaturze czernieją, kisną, pleśnieją. Po częściowem przesuszeniu, podnieść temperaturę, na dosuszeniu obniżyć, przebierać, wietrzyć, wilgotne dosuszać. Na sita układać czapczki stroną wypukłą. Korzonki zawierają mniej wilgoci, suszą się prędzej; dobrze ususzone, pozostają jasne.

Oczyszczone z ziemi, wypłukane, wytarte, zdrowe, jędrne czapczki, cienko poszatkowane, suszą się szybko. Po ususzeniu zachowują naturalny kolor. Bardzo dobre na zupy, budynie. Przed użyciem namoczyć na 12 godzin w letnim mleku, dusić z tem samym mlekiem i zaprawić, jak świeże. Po ususzeniu, ostudzone grzyby przechowywać w workach płóciennych, wylepionych papierem pergaminowym, lub w pudełkach blaszanych. Trzymać w miejscu suchem, strzec przed wilgocią i specjalnymi pasożytami, mólami grzybowymi. W razie zwilgotnienia—przesuszyć. W świecie przyrody między nieocenionymi skarbami bogactwa grzybowego, spotykamy dużo grzybów trujących, ludzaco podobnych do jadalnych. Dokładne poznanie wybitnych cech grzybów jadalnych dopomoże do racjonalnego ich spożytkowania i ustrzeże od rok rocznie powtarzających się zatruc (patrz wydawnictwo Życie Praktyczne: „Co trzeba wiedzieć o grzybach“).

Zofja Skąpska.

OBIADY DLA PRACUJĄCEJ INTELIGENCJI

(na 5 osób)

Zupa ogórkowa, czysta.

Kurczęta osmażane (po wiedeńsku) z ryżem.

Jabłka w naleśnikach.

Jeżeli pozwalam sobie dzisiaj wprowadzać kurczęta do tych najskromniejszych, najoszczędniejszych jadłospisów, to dla

tęgo, że wszędzie na prowincji, zdala od dużych centrów, latem drób jest o wiele tańszy nie tylko od wołowiny, lecz nawet od cielęciny i baraniny, stanowiących podstawowe artykuły spożywcze wsi i małych miasteczek.

Dwoje dużych kurecząt nastawić z dwoma litrami wody, parą marchewek, pietruszką, cebulą i główką włoskiej kapusty. Gdy drób zmięknie, wyjąć, ostudzić, podzielić na nieduże części (każdego kureczaka na 5 — 6 kawałków), usuwając co grubsze kości. Do rosółu (powinno go pozostać półtora litra) włożyć dwa kiszzone ogórki, obrane z łupin i pokrajane na płatki i pół kilo kartofli pokrajanych w kostkę. Włoską kapustę i włoszczyznę wyjąć i podać przy kureczkach. Gdy kartofle i ogórki zmiękną, przelać zupę do wazy na łyżkę drobno usiekanego koperku.

Kawałki kurecząt utarzać w mące, następnie w rozbitym jajku, na koniec w tartej bułeczce i obsmażyć w obficie rozpuszczonym smalcu. Dwadzieścia deka ryżu ugotować na sypko i podać do kurecząt wraz z wyjętą z zupy kapustą włoską.

Z szklanki mąki i dwóch jaj upiec naleśniki. Z tej ilości powinno ich być około 18 — 20 sztuk, jeżeli będziemy robili cienkie. Kilo kwaskowych jabłek pokrajać drobno — obierać ich nie należy, gdyż pod skórą mieszczą się witaminy; starannie umyć jabłek i otarć czystą ściereczką zupełnie wystarczy. Jabłka zmięszać z 10 deka cukru i kawałkiem utłuczonego cynamonu. Płaski rondel wysmarować masłem i wysypać tartą bułeczką. Układać rzędami naleśniki i jabłka, ostatni rząd powinien być z naleśników. Skropić masłem, wstawić w średnio gorący piec na całą godzinę. Podając, wyłożyć na półmisek i obficie posypać cukrem.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

SALATKA AMERYKAŃSKA.

Dwa ogórki, pokrajane w cienkie płatki, cztery pomidory tak samo pokrajane, cztery jabłka kwaskowe, obrane i podzie-

lone na sześć lub osiem części, i dziesięć sporych moreli, dużych renklod, lub innych słodkich śliwek przepołowionych i bez pestek. Wszystko razem ułożyć ładnie na kryształowej paterze. Dwa żółtka utrzeć z łyżeczką od kawy suchej musztardy Colemana i czterema łyżkami najlepszej oliwy. Weisnąć sok z jednej dużej lub dwóch małych cytryn. Wsypać łyżeczkę od kawy soli i stołową łyżkę cukru. Na koniec dodać sześć łyżek gęstej, młodej śmietany. Zalać tym sosem jarzyny i owoce i wynieść na parę godzin na chłód. Podawać do pieczonego drobiu, jako sałatę lub jako samodzielne danie przed zupą.

SUFLET Z MÓZDŻKÓW.

Dwie łyżki masła zasmażyć na białą z dwiema łyżkami mąki, rozprowadzić litrem odgotowanego i ostudzonego mleka, zagotować, osolić do smaku, wsypać łyżeczkę od kawy cukru, zakończyć kawałkiem śmietankowego masła, aby beszamel był delikatny. Mózg wołowy lub dwa mózdzki cielęce, odgotowane w wodzie z solą i octem, utrzeć na misce na masę. Dodać po jednym trzy żółtka, trzy łyżki ugotowanego, zimnego beszamelu, trochę białego pieprzu lub gałki muszkatolowej, na koniec ubite na sztywną pianę białka. Ułożyć ładną piramidę pośrodku metalowego półmiska i upiec w średnio gorącym piecu. Gdy się suflet ładnie zrumieni, obłożyć wkóło jakby rantem z beszamelu, beszamel posypać grubo serem i wstawić napowrót do pieca, aby się ser zrumienił. Robić to wszystko ostrożnie, żeby suflet nie opadł. Podawać bardzo gorące.

WŁOSKA KAPUSTA Z SZYNKĄ.

Ugotować dwie główki włoskiej kapusty, każdą rozkrawać na sześć części, jak pomarańczę, ścisnąć te części, nadając im kształt kolb kukurydzy, ostudzić. Każdą część kapusty zawinąć w cienkiuchny płatek gotowanej szynki, ułożyć na metalowym półmisku. Z łyżki masła, łyżki mąki i trzech szklanek mleka ugotować gęsty beszamel. Osolić. Pokryć każdy kawałek kapustą oddzielnie. Posypać grubo serem z tartą bułeczką i wstawić w piec dla zrumienienia. Podawać bardzo gorące.

PREMJĘ KSIĄŻKOWE DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“

Na drugie półrocze zakupiliśmy dla naszych Czytelniczek sześć wartościowych i ciekawych książek z zakresu beletrystyki, estetycznie wydanych na wykwintnym papierze, a mianowicie:

na miesiąc

lipiec — *Karin Michaelis*: „GUNHILD“

sierpień — *Karin Michaelis*: „PIERWSZA MIŁOŚĆ GUNHILDY“

wrzesień — *Don Byrne*: „OPOWIEŚĆ BEZ NAZWY“

październik — *André Maurois*: „KLIMATY“

listopad — *Piotr Benoit*: „AKSELA“

grudzień — *Zuzanna Normand*: „GALERNICZKI“

Książki te po wyjątkowo niskiej cenie będą przesyłane tylko prenumeratorkom „Bluszczu“, po uiszczeniu przez nie osobiście, przekazem pocztowym, lub na konto P.K.O. Nr. 3.700. dodatkowo do ustalonej poprzednio prenumeraty, jeszcze kwoty 2 zł. miesięcznie.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Bluszcz“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“. Rymarska 8, tel. 244-18.

JEDYNĄ, NIEZBĘDNĄ W KAŻDYM DOMU BIBLIOTEKĄ GOSPODARCZĄ, NIEZASTĄPIONYM DORADCĄ WE WSZYSTKICH DZIEDZINACH, ZWIĄZANYCH Z PROWADZENIEM GOSPODARSTWA DOMOWEGO, JEST WYDAWNICTWO

„Życie Praktyczne”

W szeregu doskonale opracowanych działów daje ono fachowe, praktyczne wskazówki, ułatwiające prowadzenie domu, zgodnie z nowoczesnymi wymaganiami.

Dotychczas wyszły następujące zeszyty:

1. PODRĘCZNIKI KUCHARSKIE

Potrawy wigilijne
Przystawki gorące
Zimne przekąski
100 postnych i jarskich dań
Jarzyny na zimę
Leguminy gorące
Co trzeba wiedzieć o grzybach
Potrawy i konserwy z grzybów
Konfitury, kompoty i inne konserwy owocowe
Wyrób serów
Pieczywo domowe
100 potraw z jaj
Ciasta wielkanocne
Zimne napoje
Napoje gorące
Jak kupuje dobra gospodyni
Zimne leguminy
Wina owocowe
Sałaty i sałatki
Jak odróżnić towar dobry od złego (owoce i jarzyny)
Nalewki i likiery
Wędliny domowe
Zwierzyna
Obiady na maszynce
Potrawy z ryb
Jak odróżnić towar dobry od złego (różne produkty spożywcze)
Dyspozycje śniadań, obiadów i kolacyj
Potrawy z jarzyn
Jak odróżnić towar dobry od złego (mięso i ryby)
Drob—sposoby przyrządzania
Zupy i sosy
Cukierki i słodczyce domowej roboty
Potrawy z kartofli
Sałatv (hodowla i przyrządzanie)
Jarstwo i surówka
Potrawy z wołowiny
Co można zrobić z owoców
Co można zrobić z mleka
Potrawy z kasz i mąki

2. ORGANIZACJA DOMU I GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Odnawianie mieszkania i porządki domowe
Pranie, prasowanie, czyszczenie
Oszczędna gospodyni
Hodowla i tuczenie drobiu
Czyszczenie plam
Jak nosić i przechowywać ubranie
Umeblowanie współczesne (o urządzeniu małego mieszkania)
Czyszczenie przedmiotów codziennego użytku

O pościeli i bieliznie pościelowej
Dobra gospodyni wyjeżdża na lato
Nie wyrzucaj odpadków
Mleczarstwo i hodowla w małym gospodarstwie
Jak urządzić wzorową kuchnię
Higiena i porządek w naszym domu
Służba domowa
Wnętrze polskiego domu

3. DLA DZIECKA

Ozdoby choinkowe
Kuchnia dziecięca
Domowy warsztat zabawek
Własnej roboty najmiłsze zabawki
Jak urządzić jasełka i wykonać kukielki
Bielizna dziecięca
Ruchome figurki
Zabawki z pudełek

4. KOSMETYKA

Jak pielęgnować włosy
Jak zdobyć i zachować piękność i zdrowie
O pielęgnowaniu rąk
O pielęgnowaniu nóg
Pielęgnowanie twarzy

5. OGRODNICTWO

Mój ogródek (kwiaty)
Mój ogródek (warzywa, inspekty, róże)
Rośliny pokojowe
Owoce w moim ogródku
Pędzenie roślin w pokoju
Mój ogródek (drzewa i krzewy ozdobne)
Zioła lekarskie najlepszym źródłem dochodu
Ozdabianie werand, balkonów i okien
Nasiennictwo praktyczne i dochodowe
Hodowla kaktusów

6. ŻYCIE TOWARZYSKIE

Wzorowa pani domu
Umiejętność zachowania się w świecie i w domu
Umiejętność obcowania z ludźmi
O przyjęciach i stole jadalnym
Co, jak i kiedy podawać. Część I i II.

7. Z RÓŻNYCH DZIEDZIN

Wykwintna i praktyczna bielizna
Pisanki
Jak się robi kapelusze
Pies i kot
Wyprawa panny młodej
Spacery i wycieczki
Pielęgnowanie chorych w domu

Cena każdej książki 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P.K.O. Nr. 170.

Za zaliczeniem, ze względu na wysokie koszty pocztowe, nie wysyłamy.



nieszkodliwe, znakomicie
przylegające do skóry,
o silnych i przyjemnych
zapachach są

Pudry higieniczne
(w ośmiu kolorach)

WYROBU LABOR. CHEM. FARM. APTEKI
M. MALINOWSKIEGO
ul. Chmielna 4, w WARSZAWIE, ul. Nowy Świat 31.

543

DR. J. ŚWITALSKA MÓJ SYSTEM PIĘKNOŚCI I ZDROWIA

Dzieło o stu prze-
szło ilustracjach,
podające wszelkie
wskazania z dzie-
dziny prowadzenia
racjonalnego trybu
życia, odżywiania,
gimnastyki, kąpieli,
codziennych zabie-
gów toaletowych,
ze szczególnem u-
względnieniem ma-
sażu i sposobów
pielęgnowania
urody.

Cena w oprawie 15 zł.
Z przes. poczt. 16 zł.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszczy” Warsza-
wa, Plac Zamkowy 9. Konto P. K. O. 13.555.
Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Biblioteka Wychowawcza Dziecka i Matki

wydawana przez
Tow. Wydawn. „BLUSZCZ”
Warszawa, Pl. Zamkowy 9.

obejmuje następujące działy:

Wychowanie fizyczne, higiena i profilaktyka,
wychowanie umysłowe, wychowanie moralne,
wychowanie obywatelskie, wychowanie este-
tyczne, wychowanie praktyczne, beletrystyka
dydaktyczna.

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

- z. 1) *Marja Beniśławska*: „Z mojej praktyki wy-
chowawczej” — 1 zł. 50 gr.
- „ 2) *Dr. Stefan Szuman*: „Rozwój rysunku
u dziecka i jego kształcenie” — 1 zł. 50 gr.
- „ 3) *N. Szretterowa*: Gra ruchowa jako środek
wychowawczy” — 1 zł. 50 gr.
- „ 4) *Zofja Jętkiewiczowa*: „O wpływie rodzi-
ców na przyrodzone wartości dzieci” — 1 zł.
- „ 5) *Marja Czeska-Mączyńska*: „Pamiętnik mło-
dej matki” — 1 zł.
- „ 6) *Ala Maryńska*: „W przedszkolu” (szkice
psychologiczne) — 1 zł. 50 gr.
- „ 7) *Ryta Gnus*: „Radość śpiewu” — 1 zł. 50 gr.
- „ 8) *Iza Moszczeńska*: „Samodzielność i odpo-
wiedzialność dziecka” — 1 zł. 50 gr.
- „ 9) *Alessandrina Ravizza*: „Moi złodziejasko-
wie” — 1 zł. 50 gr.

PRZESYŁKA POCZTOWA KAŻDEJ KSIĄŻKI
WYNOŚI 20 GR.

Należność z zamówieniem
przesyłać do Tow. Wyd. „BLUSZCZ” —
Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P. K. O. 13.555.